

odgłosy



Nr 47 (351)
 22. XI. 1964 r.
 10 stron
 CENA 1 ZŁ.

TYGODNIK

ROK VII



JULIAN BRYSZ

ZROBIONE Z GŁOWĄ

Fabrykę usytuowano w szczerym polu, jakieś 300 metrów w bok od szosy, nieco w dół. Stąd, z tej odległości, jej biały, piętrowy fronton i parterowe pawilony hal, wyglądają ładnie, ale dość niepozornie. Kiedyś, jadąc autobusem, dyrektor Tomaszewski usłyszał opinię: „Bogaty musi być ten budylnik, co się tu budował”.

Autor tego spostrzeżenia musiał być człowiekiem obcym, na pewno nie pochodził z Łasku ani z najbliższej okolicy. Bo przecież tutejsi ludzie doskonale są wprowadzeni w sprawę, wiąży z fabryką — dosłownie — wszystkie nadzieje na lepszą przyszłość.

W jednej z hal, gotowej już, wyrwanej jakby z całego budowlanego bałaganu, szkoli się pierwsza grupa przyszłych szwaczek. Pochylone w skupieniu nad „Łuczniczkami”, zszywają skrawki kolorowych tkanin. Instruktorka ogląda rezultat, potem prucie i „zabawa” zaczyna się od nowa. Proszę o zatrzymanie maszyn, przeprowadzam coś w rodzaju błyskawicznej ankiety.

Dla przeszło trzydziestu spośród tych 75 kobiet jest to w ogóle pierwsza stała praca w życiu. Dotychczas albo wcale nie miały zatrudnienia, albo znajdowały je na 4 letnie miesiące w roku — w przetwórni owoców, mleczarni, wytwórni wody sodowej. Tylko 4 z nich zetknęły się wcześniej z wielką fabryką. Tylko jedna, przychodząc tutaj zrezygnowała z innej pracy, pozostałe oczekiwały w Urzędzie Zatrudnienia. Oficjalnie określa się to mianem

Dalszy ciąg na str. 4

KONRAD FREJDLICH

DWIE ZONY i MORALNOŚĆ

Anonim jest najpodlejszym gatunkiem literackim, gdyż u jego podłoża leży zawsze jakaś niemoralna sytuacja. Może to być niemoralność samego autora anonimu, który podstępnie, od tyłu chce wykończyć przeciwnika, oficjalnie uchodząc za jego przyjaciela; ale może też być anonim wynikiem jakiejś dusznej, niemoralnej atmosfery i wtedy jest ściszym głosem pokrzywdzonego. Po tym wstępie wystarczy, jeśli powiem, że któregoś dnia rozpętało się...

Najpierw zaczęli otrzymywać anonimy z pogroźkami sami zainteresowani, ale zaraz też adresatów rozszerzono na władze i instancje, rozpętując listną zamieć listów kasiowych a oskarżycielskich, zaprawionych wyzwiskami i pornograficznymi „kawałkami do czytania”, bo autor mógł

sobie folgować do woli brnąć coraz to wyraźniej w model powieści brukowej. Gdy inkwizycja zaczęła przybierać na sile, a tajemniczy vox populi nie milki, sprawą zainteresowały się czynniki, badając co z tej „fikcji literackiej” ma pokrycie w rzeczywistości, fakt po fakcie, zdarzenie po zdarzeniu. Zwłaszcza, że autor anonimów nadużywał terminu: społeczny.

Oskarżonego poznałem osobiście. Dano nam w Komitecie Powiatowym partii osobny pokój, gdzie odbyliśmy długą rozmowę w cztery oczy. Wygląda młodziej, niżby to wynikało z akt sprawy, choć zmęczony. Myślę, że przed tym oskarżeniem musiał wyglądać młodzieńczo. A jest przecież człowiekiem, dla którego nie pierwszą są trudne sytuacje i bezpośrednio nawet niebezpieczeństwo.

Stawiąc czoła niebezpieczeństwu nauczył się jeszcze jako chłopak. Zaraz po maturze podjął pracę w Urzędzie Bezpieczeństwa. Było to w r. 1951, w okresie likwidacji band. Chodził z poniemieckim Walterem, dużą i ciężką maszyną i dopiero po czterech miesiącach dano mu nowocześnie tefkę. Nocami podchodzili nad

Pięć band Chwałowskiego, który lubił i umiał strzelać. Potem skierowano go na likwidowanie współpracującej z Chwałowskim bandy Obina. Wiele nocy przeleżał w moczarach kostniejąc z zimna, bo Obin nie był gotowasem i nie pchał się pod lufę. W akcjach przeciw Obinowi stracił zdrowie, chociaż nie było mu dane ująć herszta bandy. Bo tak się złożyło, że miał akurat dyżur w Urzędzie tej nocy, kiedy odkryto bunkier bandytów w lesie.

Nie unikał niebezpieczeństwa, na swój sposób lubił to ciągle ryzyko, ale bardziej jeszcze lubił elektronikę. To było hobby jeszcze z gimnazjum, a stało się leitmotiwem całego życia. Któregoś dnia, już po likwidacji band, zgłosił się do szefa na rozmowę. Dostał przeniesienie do pracy na liniach telekomunikacyjnych wysokiej częstotliwości, wkrótce poznał je na wylot i nawet zaczął się nudzić marząc

Dalszy ciąg na str. 6



Seria bilateralnych konferencji — oto jak najkrócej można scharakteryzować to, co dzieje się obecnie na Zachodzie. Runda wojaży i spotkań ma na celu zahamowanie postępującego rozkładu NATO. Na razie odnosi się jednak wrażenie, że wszyscy walczą o wszystko. Nową serią rozmów zapoczątkowało spotkanie Rusa z min. spraw zagranicznych Holandii — Lunsem, następnymi rozmówcami zaś byli: Spaak (min. spraw zagr. Belgii) i von Hassel (min. obrony NRF). Równocześnie zapowiedziano już spotkanie Johnson-Wilson, które odbędzie się w pierwszych dniach grudnia.

Chociaż „główne drogi” prowadzi do Waszyngtonu — ożywienie panuje i na europejskich trasach. Właśnie z nieoficjalnej misji powrócił z Paryża do Bonn „wieczny polityk” Adenauer, podsekretarz stanu Ball bawił w Berlinie zach., a nowy brytyjski min. spraw zagranicznych, Gordon — Walker w Bonn.

Jakie są przyczyny tej nader ożywionej osobistej dyplomacji?

Zaczytajmy w odpowiedzi niektóre określenia ze szpalt prasy zachodniej: „mecz nieprzedjednania między Paryżem a Bonn”, „megalomanią widać wielkość Francji”, „reprezentowana przez de Gaulle’a”, „męchwoda de Gaulle”, „anglo-francuskie „nie” na grudniowy termin urzędystwienia wielostronnych sił nuklearnych”... Kto by zresztą odzwierciedlił wszystkie określenia...

A oto i główny obiekt kontrowersji: wielostronne siły nuklearne (MLF). Zaprezentować możemy w Czytelnikom następujący sposób:

25 statków nawodnych, krążących na najbardziej uczęszczanych szlakach handlowych, przede wszystkim na Atlantyku i Morzu Śródziemnym. Każdy z nich, choć z pewnej odległości wygląda jak niewinny frachtowiec, w rzeczywistości jest bardzo niebezpieczną bazą atomową. Na pokładzie każdego znajduje się 8 rakiet typu „Polaris A-3”, o mocy 35 razy większej niż siła eksplozji nad Hiroszimą. Łącznie atomowa flotylla nieśie ładunek 10 razy większy niż wszystkie bomby, zrzucone przez wszystkie samoloty w czasie drugiej wojny światowej.

I jeszcze jeden, wcale nie bagatelny szczegół: załogi, mimo iż mówią różnymi językami (z niemieckim łącznie), pełnią służbę w jednolitych mundurach...

Oto, jak wyobrażają sobie amerykańscy autorzy projektu wspólne siły nuklearne. Trzeba się zgodzić z zachodniemieckim „Der Spiegel”, że ma to być „polityczne towarzystwo akcyjne, w którym zainteresowane państwa NATO mogą odpowiednio do

wnieśonego wkładu finansowego nabyć... prawo współdecydowania o planowaniu i wykorzystaniu floty rakietowej”.

Pisaliśmy już zresztą na ten temat, wyjaśniając Czytelnikom, dlaczego Bonn tak gorączkowo zabiega o sfinalizowanie koncepcji. To „curiosum morskie” ze zrozumiałych względów wywołało jednak tyle ostrych i długotrwałych sporów, jak żaden projekt militarny w NATO. Na tym także tle, zarysowany już uprzednio, sojusz atlantyczny zaczyna pękać.

Choć MLF, to powód zasadniczy owoych pęknięć, przecież nie jedyny. Innym „twardym orzechem do zgrzyzienia” jest EWG, a szczególnie konflikt w sprawie cen zboża między Francją i Niemcami zachodnimi. Próbę ujednolicenia tych cen, co ma dokonać się kosztem NRF, Paryż traktuje jako rekompensatę za pewne ofiary, poniesione przez przemysł francuski. Sprawa ma więc poważny aspekt ekonomiczny.

Już w 1966 roku w organach EWG ma obowiązywać zasada większości głosów. Jeśli do tej pory de Gaulle nie przeformuje swoich zamiarów — może napotkać kolosalną trudność. Spośród bowiem partnerów „szóstki” tylko Francja jest eksporterem zboża.

W Bonn są wprawdzie politycy, którzy w „imie jedności” gotowi są wydukać chłopów z budżetu państwa po obniżce cen zboża, lecz przecież nie wszyscy. Jeśli godzi się na to np. Adenauer, Erhard — wobec nieubłagane zbliżającego się terminu wyborów — obawia się utraty głosów.

I ze względów, o których powyżej, i z powodu wyborów — Bonn najwygodniej byłoby zatem sprawę opóźnić. Cóż, kiedy de Gaulle ani nie chce o tym słyszeć. Jego „albo, albo”, związane z grudniowym terminem, to właśnie druga w kolejności przyczyna rozkładu jedności atlantycznej.

Tymczasem w Bonn postępuje coraz bardziej proces różnicowania polityków: na profrancuskich i proanglosaskich.

Odzwierciedleniem tego są liczne komentarze. I tak np. „Stuttgarter Zeitung” pisze z rozżaleniem:

„W Bonn ciągle jeszcze nie rozumiano komu rzeczywistość bije dziesiąt zegar... Tylko polityczni dyktanci mogą wierzyć, że miejsce Francji jako sojusznika mogłaby zająć Anglia.

W tym samym czasie francuski „Figaro” żalił się w inny sposób:

„Rząd francuski chciał nie tylko sam uołonić się spod opieki USA, lecz pragnął również wciągnąć do tej kalkowitej emancypacji państwa szóstki, a przede wszystkim NRF i utworzyć wraz z nimi trzecią niezależną siłę...”

Można by powiedzieć: niestety, Bonn, jak widać nie zamierza podjąć decyzji tu pałac świeżczkę, a tam oparek... Przecież w końcu nie wiadomo, kto szybciej umożliwiłby dostęp do upragnionej broni nuklearnej!

Grube pęknięcia atlantycznej budowli niełatwo będzie zacementować. Spróbować jednak warto. Dlatego właśnie krzyżują się trasy dyplomatycznych wojaży.

W. SŁAWSKI

Kronika TYGODNIA

NIEDZIELA, 8 LISTOPADA

W Pekinie coraz częściej wyraża się sądy, iż konflikt radziecko-chiński był zjawiskiem przejściowym i należy oczekiwać rychłego przewyżyczenia jego wszystkich następstw. Mówi się też o dwustronnych radziecko-chińskich konsultacjach na tematy sporne. Rozmowy miałyby się zacząć w początkach przyszłego roku.

Anglia ma swoją wielką sensację. T. Smith, dziennikarz i szef gźencji wydawniczej zamierzał opublikować wyjątki z pamiętnika księcia następcy Karola, dotyczące problemów demokracji, monarchii i wielkiej polityki, a także — ponoć — zawierające zgola światoburcze poglądy przyszłego monarchy. Ale w sam czas wroczyła policja z nakazami rewizji i konfiskaty. Tak więc pamiętniki księcia Karola nie zostaną opublikowane.

Egipska gazeta urzędowa „Gumhurija” w ostry sposób atakuje decyzję Bonn podjęcia dostaw uzbrojenia dla Izraela. Tytuł artykułu „Świat arabski decyduje” NRF musi uznać za bezwzględne wyzwanie.

„To nie wina fizyków, iż z ich genialnych idei powstają zazwyczaj tylko bomby”.

Robert Oppenheimer amerykański fizyk atomowy

PONIEDZIAŁEK, 9 LISTOPADA

W Anglii pierwsza próba sił po wyborach — mimo dramatycznego przebiegu — zakończyła się sukcesem Partii Pracy. Ale złośliwa prasa pisze, że potrzebny był ku temu wysiłek organizacyjny prawie taki jak w dniu lądowania w Normandii. Czy wście — przesada, ale premier Wilson musiał rzeczywiście zwołać swych posłów z całej Anglii wszelkimi środkami lokomocji, by w Izbie Gmin, uzyskać w debacie o nacjonalizacji przemysłu hutniczego ledwie 7 głosów przewagi.

Adenauer bawi w Paryżu z misją złagodzenia napięcia wynikłego z różnicy poglądów na sprawę MSN i

obniżenie cen zboża. Ekskandercz z tej okazji wypowiedział się gromko o francusko-niemieckiej „gorącej przyjaźni” i o „współpracy” obu państw w dziele „przebudowy Europy”. Słowo „przebudowa” przypomina nam znany hitlerowski slogan o „nowym porządku”.

Nowy premier japoński — były sekretarz stanu do spraw Olimpiady — już na początku swej kadencji ma poważne kłopoty: wizyta amerykańskiej nuklearnej łodzi podwodnej wywołała gwałtowną falę demonstracji.

W Jemenie po latach krwawej, bratobójczej wojny — wreszcie zawieszono broń.

WTOREK, 10 LISTOPADA

Premier Wilson oświadczył, że porozumiewa się z sojusznikami przed odpowiedzią na propozycje Pekinu w sprawie wstrzymania wszelkich prób nuklearnych.

W czasie kampanii wyborczej kandydat na senatora Robert Kennedy był interpelowany w sprawie swych poglądów na problem regulacji urodzin. Robert Kennedy — ojciec ośmiorga dzieci oczekujący właśnie dziewiątego potomka — uchylił się od odpowiedzi na to „kłopotliwe” pytanie.

Były prezydent Eisenhower bardzo zaangażował się w kampanii wyborczej na rzecz Barry Goldwata. Skutki: konieczność szpitalnego leczenia ostrego niezytu gardła.

ŚRODA, 11 LISTOPADA

Narady toczące się w ogólnonarodowym Komitecie partii republikańskiej wskazują na to, iż większość tzw.

z NRF żywe rekwizyty do filmowej wersji Biblii.

W Paryżu podano do wiadomości zarys francuskiego planu pięcioletniego rozwoju sił zbrojnych. W roku 1970 armia francuska będzie dysponować strategicznym i taktycznym uzbrojeniem nuklearnym.

PIATEK, 13 LISTOPADA

Premier Czou En-laj opuścił Moskwę po przeprowadzeniu w szeregach partyjnej atmosferze rozmów z nowym radzieckim kierownictwem partyjnym i państwowym.

W Paryżu — tym razem z inicjatywy francuskiej — mówi się o spotkaniu Johnsona z de Gaullem.

Sekretarz stanu Dean Rusk uważa, iż stosunki między ZSRR a Chinami nie są wynikiem układu sił personalnych.

W Wietnamie Płd. powódz, ożywiona akcja partyzantów i demonstracje antyrządowe studentów: cóż dzieć



Johnson: Chcę mówić z naszym wiernym sojusznikiem, szefem rządu płd. Wietnamu. Kto jest nim dzisiaj?

nego, że rząd jest słabszy niż kiedykolwiek.

Deklaracja opublikowana po rozmowach amerykańsko-meksykańskich mówi o tradycyjnych więzach sąsiedzkich. Przypominamy co powiedział na ten temat meksykański bohater narodowy



Multilateralne siły uderzeniowe w oczach satyryka duńskiego.

„Jakże to będzie: w prawo zwrot!?”

„leederów” wypowiedział się przeciwko pozostawieniu partyjnego kierownictwa w rękach Barry Goldwata.

„Times” donosi o rozmowach handlowych z Pekinem na temat sprzedaży Chinom angielskich pasażerskich samolotów odrzutowych: jeśli transakcja dojdzie do skutku, Chiny uruchomią linię komunikacyjną łączącą Kubę, Afrykę i Pakistan z Pekinem i Szanghajem.

CZWARTEK, 12 LISTOPADA

Antonin Novotny, I sekretarz KC KPCz, wybrany został ponownie prezydentem Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej.

We Włoszech powódz i strajk kolejarzy doprowadziły do zupełnego chaosu komunikacyjnego. Kolejarze przerywają pracę trzykrotnie w ciągu dnia na 90 minut. Przyłączyli się do ich strajku celnicy. Na granicy celnej coraz większy załor: utknął w nim i transport zwierząt wiozący

Juarez: „Bóg daleko, Stany Zjednoczone blisko. Biada Meksykowi!”

SOBOTA, 14 LISTOPADA

W Sudanie po nowej fall demonstracji i zamieszek, po zdemolowaniu ambasady USA, Anglii i Egiptu — wreszcie rezygnacja byłego dyktatora, krwawego generała Abuda. Mimo to sytuacja nadal niejasna: kryzys ekonomiczny i policyjne terrorystyczne rządy doprowadziły do powszechnego wrzenia. Pałecym staje się problem autonomii prowincji południowych, zamieszkałych przez Murzynów, antagonizm ludności murzyńskiej i arabskiej stał się bowiem jednym z głównych motów ostatnich wydarzeń.

W Federacji Rosyjskiej zniesiono ograniczenie dotyczące posiadania działek przyzgodowych i zwierząt gospodarczych. Jest to kolejny krok zmierzający do podniesienia stopy życiowej.

POLONICA

Niedawno otwarta została w siedzibie ONZ w Nowym Jorku wystawa na temat „Sztuka a człowiek” zorganizowana przez UNESCO przy współpracy z 60 państwami członkowskimi. Wystawa obejmuje około 200 fotografii, ilustrujących rolę i funkcję sztuki w społeczeństwie współczesnym. Fotografie

SZTUKA A CZŁOWIEK

ANTOLOGIA SATYRY POLSKIEJ

W Zagrzebju, nakładem wydawnictwa Stvarnost, ukazała się antologia powojennej satyry polskiej, objętości 356 stron i w pięknej oprawie. Satyra obejmuje lata 1945-1960 i prezentuje utwory następujących autorów: Stanisława Jerzego Leca, Gozdawy i Stępnia, Mroźka, Zakułkiego, Baranowskiego, Osieckiej, Osęki, Bardzi-

HUXLEY I CHOPIN

W wychodzącym we Florencji pod redakcją profesora Carlo Pellegriniego czasopiśmie „Revisita di Letterature Moderne e Comparete” znajduje się w numerze najnowszym krótkie wspomnienie o zmarłym niedawno Aldousie

PROF. HISCOCKS O POLSCE

Dotarła do nas, wydana przez Oxford University Press w Londynie, książka prof. Richarda Hiscocksa pt. „Poland: Bridge for the Abyss? An Interpretation of Development in Post-War Poland” (Polska: Most nad przepaścią? Rzecz o rozwoju Polski powojennej). Autor, który jest profesorem socjologii na uniwersytecie

te przedstawiają m. in. znakomitych malarzy, rzeźbiarzy, architektów, rzemieślników, muzyków, tancerzy, aktorów, reżyserów itd. w czasie ich pracy, a także oryginalne dzieła sztuki, będące świadectwem zdolności twórczych dzieci i amatorów. Wystawa przesłana zostanie następnie do Paryża,

jewskiego; Jareckiego i Abramowa. Wyboru dokonał i wstępem antologii opatrzył Zygmunt Stoberski, teksty polskich satyrników ukazały się w przekładach Djordje Saule i Petra Vujicića. Należy wyrazić radość z faktu, że serbochorwacki czytelnik będzie mógł się zapoznać w swoim języku z utworami polskich saty-

Huxleya i jego stosunku do muzyki Chopina. Kiedy autor wspomnienia zadal Huxleyowi pytanie, dlaczego w jednym ze swych odczytów na temat kultur narodowych pominał nazwisko Chopina, ten odpowiedział: „Dlatego, że

w Manitoba (Kanada), przebywał w latach 1957-1960 parolotnie w naszym kraju i książkę niedawno wydaną napisał na podstawie obserwacji życia politycznego, społecznego i kulturalnego. Był również w Łodzi, gdzie ogłosił m. in. przedstawienie „Nieboskiej komedii” Krasńskiego, o czym wspomina w swej obszern-

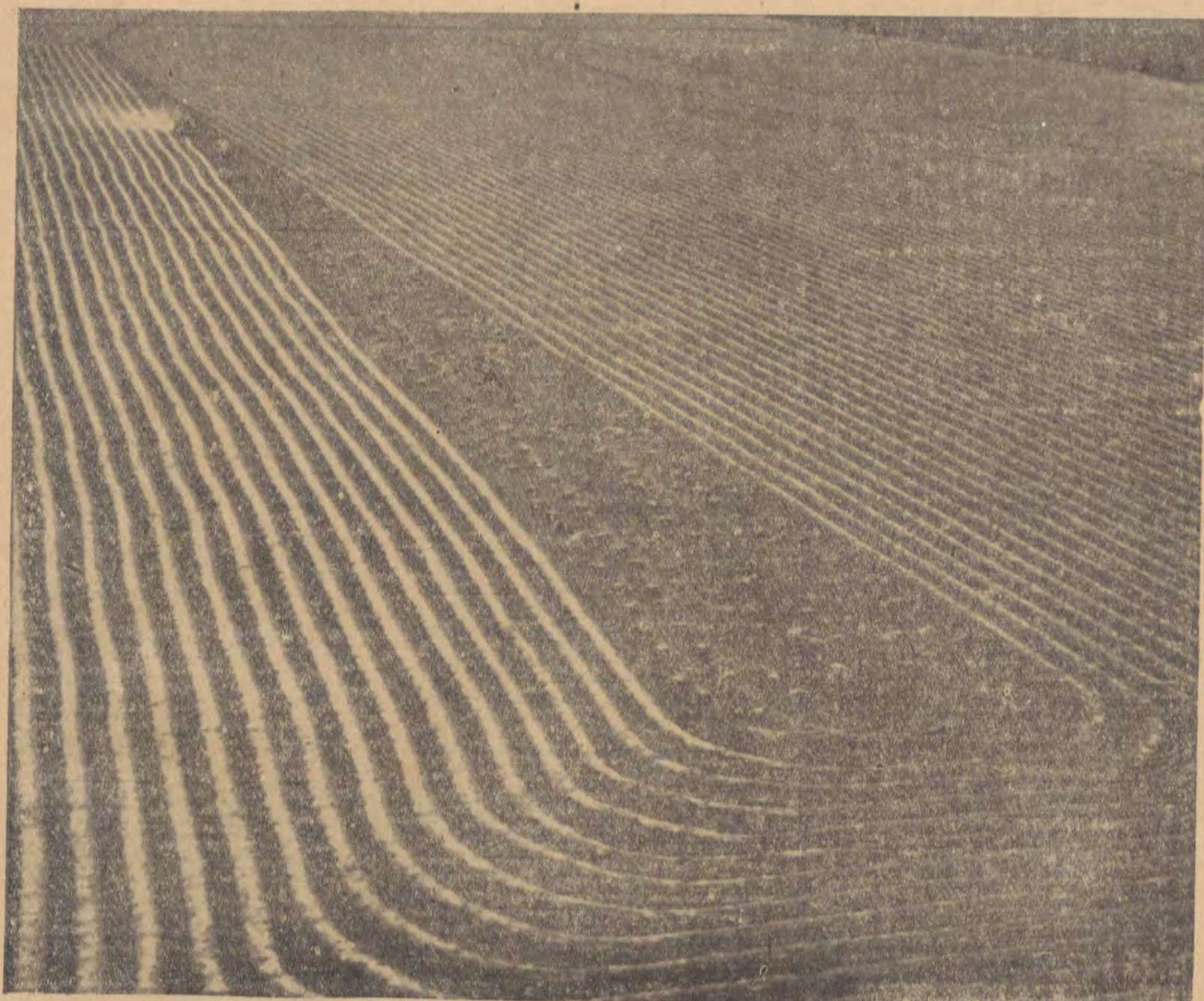
POLONICA

gdzie eksponowana będzie w siedzibie UNESCO. Wśród eksponatów wystawy znajdują się również fotografie na temat polskich twórców i dzieł sztuki, przesłane przez Polski Komitet do Spraw UNESCO. (Wg „Informations UNESCO”, sierpień 1964).

ryków. Musi jednak zrobić nieco wybór. Przecież pominięto wielu znakomych satyrników, mających w swoim dorobku obfitą i różnorodną twórczość, żeby, dla przykładu, wymienić takich autorów jak Jan Brzechwa, Janusz Minkiewicz, Antoni Marianowicz, Jan Huszcza i Jan Sztudynger.

go Kocham. Właśnie dlatego, że go za bardzo Kocham”. Dodajmy od siebie, że jest to dość dziwny rodzaj miłości. Ale, widocznie, bywają i takie.

nej książce. Głównym jednak tematem pracy Hiscocksa jest rola Polski w nowej sytuacji, której autor chce przypisać rolę pośrednika między Wschodem i Zachodem. Prof. Hiscocksa z uznaniem pisze o polityce Gomulki, która doprowadziła do prawdziwego zjednoczenia narodu.



JAN BABIŃSKI

Niedaleko RAWY

Czym była Niezależna Partia Chłopska dla ruchu ludowego?

Jestem przeświadczony, że odpowiedź nie zawsze będzie trafna. Partia działała krótko, tylko w latach 1924—7, po wtóre jej wpływy ograniczały się do pewnych jedynie rejonów. Jest rzeczą nad wyraz charakterystyczną, że idee NPChł padły na sprzyjający grunt i zapuściły korzenie pod Łaskiem, Brzezinią, Tomaszowem, głównie pod Rawą Mazowiecką.

Sądzą, że nie jest to dziełem przypadku. Polska przed wojną składała się na dobrą sprawę jakby z trzech różnych krajów, ukształtowanych możliwościami gospodarczymi, także polityką zaborców. Jeszcze dzisiaj, po tylu latach, nawet kłopskiego obserwatora, który przejeździł most na Prośnie pod Wieruszowem, uderza jak obuchem inność zaproszańskich dróg, wiosek, miast, inność zabudowań, zgoła lasów i pól. Prośna dzieliła dwa światy, czas nie zatępił tej granicy bez reszty po dziś dzień. Co innego Poznańskie i Śląsk, co innego Kongresówka, zwłaszcza ta mazowiecka, drewniano-słomiana, bez dróg, kolei, światła, telefonu. Tutaj właśnie przeciwnieństwa społeczne na wsi były najbardziej spierzchnięte, chłop podobnie jak galicyjski, najbiedniejszy, wrzenie w gromadach największe.

Czasem wydaje się, że pewien pisarz (bodajże Rej) miał na myśli te siola staropolskie nad Pilicą, kiedy zauważył z sarkazmem:

— „Nędza z błądą z Polski idą”... Ubogim to wioścziuy, w których od wieków nic, a nic nie chciało się zmienić. Smutna to krajina, płaska, szara, pełno tu piaszczystych ugorów, rozbełtanym wydm porośniętych sosenką, jakieś zagajniki, brzezinki. I te lasy, dzikie, pierwotne lasy. Błądziłem po natpilicznych piachach kilka lat temu za śladem majora Kubali-Dobrzyńskiego, który z pierwszym oddziałem partyzanckim przybył jesienią 1939 roku do tych właśnie opoczyńsko-rawskich borów. Nie mógł wybrać lepiej.

Krajobraz tu mazowiecki, kartofliśka, wierzby, nieśtychana mnogość miedz i zagonów a ziemia skąpo obdarzona przez naturę, po macoszemu. Ale i tutaj można odkryć duże połacie niezłanych gruntów, na których rośnie pszenica. Bieda wszakże w tym, że gdzie znał się skrawek urodzajnej gleby, tam zaraz zza stuletnich debów wyskakiwały folwarczne zabudowania. Po jednej stronie dwór, który jaśniał światłem ze wszystkich okien. Po drugiej chałupinki, które wywoływały zdumienie i kpinkę cudzoziemców, gorycz ludzi, którym naprawdę leżało na sercu dobro narodu. Sam szczyt i samo dno, nad społeczną przepaścią nie było pomostu.

Do tego jeszcze to przeludnienie. Wiem, że w czasach, które pedzą na złamanie karku, nikt nie lubi żyć wspominkami. Denerwują. Ale cóż to szkodzi wspomnieć jednym tylko zdaniem, że w

1924 roku aż 76 procent ludności kraju, który leżał w centrum Europy, mieszkało na wsi? Taki wskaźnik ludności wiejskiej miała Anglia w 1724 roku — dziś ma 8 procent. Potem te wielkie oczy. Potem ta dręcząca, budząca zaniepokojenie nostalgia za stylem życia państw, które już na samym starcie wyprzedziły nas o kilka stuleci.

Dwór i chłop, dwa bieguny — zderzenie mogło być tylko kwestią czasu i niczego więcej.

Był rok 1924. PSL — Wyzwolenie opuściła grupa działaczy i zorganizowała Niezależną Partię Chłopską. Władza, ziemia, oświata dla ludu... Chcemy być sumieniem i głosem ludu wiejskiego, żądamy reformy rolnej bez wykupu...

Może to słogany trąca dził banałem, lecz wówczas jakże one przemawiały. Rawski chłop, który rozdzielał życie pomiędzy robotą na dworze i pracą na własnym zagonie, nastawił uszu. Ziemia, czy może być coś cenniejszego dla wieśniaka od ziemi? Na partię z takim programem istniało po prostu zamówienie społeczne. Musiała powstać.

Niezapomnianym przejawem siły zorganizowanego chłopstwa był wiec 25 kwietnia 1925 roku w Regnowie koło Rawy. Znany działacz ludowy Alfred Fiderkiewicz tak pisze o tym wiecu we wspomnieniach pt. „Dobre czasy”:

— „Po śniadaniu ruszyliśmy ku kościółkowi. Organy jeszcze grały ale wokół umajonej świerkowej galazki trybuny, zgromadziło się już blisko 4 tysiące chłopów oraz robotników z Rawy; Białej Rawskiej i okolicznych folwarków... Na przewodniczącego zgromadzenia został jednogłośnie wybrany Kowalski, który w słowie wstępnym nazwał wiec uroczystością zbratania chłopów i robotników. Po rzęsiwych okłaskach zabrałem głos w imieniu Niezależnej Partii Chłopskiej. Z początku spotykałem się z pojedynczymi, wrogimi okrzykami. Szczególnie ubrana po miejsku grupa, próbowała mnie sprokować, a jeden z nich krzychał natarczywie: — Do bolszewi! precz z bolszewikami! Dopiero po kilku minutach zobszylem szpiela i jego kolegów wypchniętych poza krąg ludzi. Policja — krzyczeli — policja...”

Przytaczam ten fragment wspomnień in extenso, gdyż jest z różnych względów pouczający dla zagęszczonej atmosfery tamtych czasów. Zarzucano wszak NPChł, że stoi za blisko KPP że jest niedostatecznie narodowa i patriotyczna. Żądać reformy rolnej bez odeszkodowania? To przecież goździ w odwieczny instykt posiadania, to zamach na niepodległość kraju. Likwidować dwory? Przecież to dwory były ostoją polskości one dostarczały rekruta do wszystkich powstań. Tak więc na zasadzie antynomii pojęcie patriotyzmu mylono z nacjonalizmem, pojęcie narodu z klasą społeczną. Dziś na to wszystko spoglądamy inaczej. Wtedy jednak tylko ludzie z charakterem, rewolucyjności z ducha i temperamentu mogli żądać dworskiej ziemi bez wykupu.

Tak więc koła NPChł. zaczęły wyrastać tam, gdzie posiano nędzę i biedę. W całym powiecie rawsko-mazowieckim. Zbierano się w chłopskich izbach w domu Antoniego Korzyckiego w Podkonicach Dużych, w podobnych domach, gdzie indziej drewnianych, krwitych po części gontami, z ławą pod oknem i niewielkim sadem obsypanym jesienią jabłkami.

Niezależna Partia Chłopska rosła liczebnie.

Ciekawym przyczynkiem do tego procesu jest list Sekretariatu Głównego Partii do K. Milejskiego z Trzadzów:

— „W odpowiedzi na Wasz list, przesyłamy legitymację członkowską. Witamy Was w szeregach naszych i wzywamy Was do organizacyjnej pracy. Każdy z naszych członków obowiązany jest do pracy nieurzędowej nad jednaniem prenumeratorów i zakładaniem kół NPChł. po wszystkich, dostępnych wsiach. Wyzwolenie chłonoń zależy przede wszystkim od samych chłopów. Organizujcie się zatem w imię lepszego jutra!”

List to suchy, rzeczowy, jakże jednak znamienity.

Energiczna akcja przyniosła rezultaty. W 1927 roku partia liczyła 30 tysięcy członków i znajdowała się w dalszym marszu. Jej zwolennicy w miarę sił i środków operowali krótkimi hasłami, pieśnią, apelem, ulotką. „Chłopi! Przybywajcie ze wszystkich wsi na zgromadzenia, zapraszamy również robotników. Na dajcie się złamać. Ramię przy ramieniu, chłop przy chłopie. Cała wieś niech się skupi pod Czerwonym Sztandarem!” Te hasła nie pozostawiały cienia wątpliwości co do tego, że NPChł. dążyła do współdziałania z robotnikami wszędzie, gdzie to było możliwe.

W rawskich wioskach śpiewano wówczas „Pieśń Oraczy”, zaczynając się taką zwrotką:

Wstajemy gromady mocarnych oraczy
Wieś za wsią jak wicher szalony
Za długi był żywot nasz w smutku,
rozpaczy

Grzbiet zgięty, chleb łzami solony.

Do najbliższych gromad pod Rawą docierał też organ NPChł. z którym współpracował Lucjan Rudnicki. W artykule gwiazdkowym, sygnowanym pseudonimem, Rudnicki napisał:

— „Chłopi i robotnicy, nie słuchajcie tych, którzy wam ukazują gwiazdkę na niebie, aby łatwiej pozabawie ludu kiego na ziemi. Nie słuchajcie tych poczciwców, którzy radzą wam cierpliwie oczekiwać na gwiazdkę. Gwiazdka sama nie przyjdzie, gwiazdkę trzeba ściągnąć własnymi rękami...”

Niezależna Partia Chłopska była najbardziej radykalną ze wszystkich partii chłopskich w okresie międzywojennym. Wcześniej lub później musiała przeto paść ofiarą zdrady, szantażu. Tak się też stało. Pierwsze ciosy, wymierzane często na oślep, spadły na działaczy tej partii w 1926 roku. Potem kampanię wzmożono, naciskając sprężyny prowokacji, gróźb, nagonki. Wreszcie, w 1927 roku postawiono kropkę.

Decyzją rządu, Niezależną Partię Chłopską uznano za organizację o charakterze wyrotowym, więc nielegalną. Partia uległa likwidacji. Inna sprawa, że jej aktywiści przeszli później do „Samopomocy Chłopskiej”, do lewego skrzydła Stronnictwa Ludowego, a także do „Wici”. Żywot tej partii trwał więc krótko, ale miał wiele wspólnego z kształtowaniem się lewicowego nurtu w ruchu ludowym. NPChł. to prekursor linii ideowej ZSL. Program NPChł. — „Władza, ziemia, oświata dla ludu” — został urzeczywistniony. Ten program wytrzymał próbę czasu.

Dziś gdy spoglądamy na działalność Niezależnej Partii Chłopskiej z perspektywy 40 lat, nawet beznamienity kontemplator, nie może nie podziwiać umiejętności przewidywania, dalekowzroczności jej przywódców. Kto zaś pragnie odłożyć na bok archiwalne dokumenty i znaleźć wciąż gorący jeszcze ślad życia tej partii, niechaj uda się do wiosek pod Rawą Mazowiecką, nad którymi unosił się wówczas duch rewolucji. Znajdzie tam chłopów, którzy pamiętają.

LISTY do REDAKCJI

W TONACJI RZECZOWEJ

Tygodnik „Odgłosy” uważam za dobre, łódzkie pismo. Omalwa ono bowiem szereg ciekawych problemów.

Poruszany temat — nauki, a co za tym idzie i dobór właściwej szkoły, jest jak najbardziej aktualny. Dawno minęły czasy, kiedy wszyscy uczniowie, którzy chcieli dostawać się na wyższe uczelnie. Obecnie i do szkoły średniej nie jest łatwo się dostać. Cóż dopiero mówić o Technikach, które mają przed sobą największą przyszłość.

Jako jeden z rodziców stanąłem obecnie przed problemem — do jakiej szkoły śred-

niej skierować syna. Do tej pory powszechnie uważa się, że najlepiej do studiów wyższych (politechnicznych) przygotowuje Liceum Ogólnokształcące. Co się jednak dzieje z uczniem, gdy po ukończeniu „ogólniaka” nie dostaje się na Politechnikę? Jego najgorętsze marzenia o studiach technicznych trafiają w próżnię, z której nie ma konkretnego wyjścia. Młody człowiek zostaje na lodzie, bez żadnego przygotowania do pracy zawodowej. Kursy zawodowe, do kształtujące 1- lub nawet 2-letnie, które potem może uczeń skończyć, nie dają odpowiednich, wysokich kwalifikacji.

W innym przypadku, gdy

wybiera się Technikum, zachodzą inne obiektywne trudności. O ile z Liceum wszyscy uczniowie po ukończeniu matury mogą składać egzamin na wyższe uczelnie, to w Technikach, jak mi wiadomo, istnieją jakieś limity szkolne, np. dane Technikum otrzymuje limit na 3 miejsca dla najzdolniejszych uczniów (na Politechnikę). To byłoby niestaszne, gdyż może zdarzyć się sytuacja, że dane Technikum będzie potrzebować nie 3 miejsca na Politechnikę, a 6, bo tylu zdolnych uczniów posiada. Rygorystyczne przestrzeganie przez Technikum obowiązujących limitów na Politechnikę będzie na pewno odstraszać większość kandydatów do tej szkoły. A byłoby to bardzo źle. Proszę mnie źle nie zrozumieć, że moim zdaniem wszyscy uczniowie Technikum będą szli na Politechnikę. Na pewno pójdą tylko ci najzdolniejsi, którym

nie można zagradzać drogi H-mitem.

Moim zdaniem źle się dzieje, jeśli uczeń nie zdał egzaminu do Technikum, to może być przyjęty przez Liceum. Jest to „kółomyjka”.

W obecnym czasie winno być dużo więcej szkół technicznych (Technikum), a mniej niż dotychczas ogólnokształcących. O takim rozwiązaniu sprawy się myśli. Najlepiej świadczył o tym wypowiedź prasy lub Telewizji. Jednak ta zmiana postępuje b. powoli, a potrzeby gwałtownie rosną.

Dla całkowitego wyjaśnienia sprawy podaje, że syn mój uczy się bardzo dobrze. Jest obecnie w 7 kl. szkoły podstawowej i ma zamiarowanie do elektrotechniki. Zykuję się do Technikum Elektrycznego. Jeśli w Technikum będzie się dobrze uczył, no to będzie chciał studiować na Politechnice. Takich jak on będzie

więcej. Trzeba ten problem rozwiązać.

Sygnalizuję tutaj sytuację, jaka powstała w klasie 7 szkoły podstawowej, w której uczy się mój syn. Wszyscy najlepsi uczniowie (chłopcy) wybrali Technikum, a nie Liceum. Ten stan rzeczy daje wiele do myślenia. Moim zdaniem należałoby powiększyć liczbę Techników kosztem Liceów Ogólnokształcących.

Obecnie mamy: 52 Licea i 23 Technikum. Moim zdaniem winno być: 25 Liceów i 50 Techników.

Wniosek z tego taki, że niektóre szkoły licealne winniśmy już dzisiaj zmienić na Technika.

Inna sprawa to poziom nauczania w Technikach. Idzie tu o taką famę, że w Technikach poziom nauk ścisłych jest niższy od poziomu w Liceach (choć o matematykę, fizykę, chemię). Tę sprawę należałoby zbadać.

Przedmioty ścisłe w Technikach muszą być na b. wysokim poziomie. Technik dyplomowany musi przedstawiać wysokie walory, czego, niestety, nie zawsze można powiedzieć o wypuszczonych obecnie technikach.

Uważam również, że Łódź ma zbyt mało miejsc na wyższych uczelniach. Za mało jest również katedr różnych specjalności. Np. w Politechnice Łódzkiej nie ma w ogóle Katedry Łączności, Architektury itd. Łódź jako drugie miasto w Polsce jest traktowana po macoszemu. Dynamiczny rozwój techniki wymaga zmian na lepsze.

Sprawy, które poruszam są istotne dla większości obywateli, którzy muszą się z nimi stykać.

Proszę o poruszenie tych spraw na łamach „Odgłosów”.

STALY CZYTELNIK

ZROBIONE Z GŁOWĄ

Dalszy ciąg ze str. 1

nadwyżek żeńskiej siły roboczej. Dziewięćdziesięcioletni Łask, pozabawiony dotychczas jakiegokolwiek większego zakładu przemysłowego, miał tych nadwyżek szczególnie dużo.

— Element surowy, ale chętny do pracy — mówi dyrektor o swoich pierwszych pracownikach. — Któregoś dnia mimochodem rzuciłem uwagę, że warto by umyć okna w nowej hali, a już nazajutrz cała załoga stawiała się godzinę wcześniej, z własnym sprzętem i w mig się z tym uwinęto.

Mieszkańcy wielkich miast, nasyconych setkami fabryk i urzędów, każda wiadomość o uruchomieniu jakiegoś nowego obiektu przemysłowego, przywykli traktować całkowicie bezosobowo, co najwyższą notując w pamięci kolejny sukces naszej gospodarki. Socjalistyczne uprzemysłowienie w skali małego miasteczka wygląda zupełnie inaczej, jego efekty są równoznaczne z realizacją osobistych pragnień i nadziei bardzo konkretnej, określonej grupy ludzi. I tak jest właśnie w Łasku.

Na razie zostawmy jednak dygresję, porzućmy próby uogólnień. Ujmując sprawę po kronikarsku, należy powiedzieć, że biegnie właśnie dziewiętnasty miesiąc od chwili rozpoczęcia budowy łaskiej „odzieżówki”, a fabryka dostownie lada dzień będzie gotowa, chociaż za takiego obiektu przewiduje się cykl 21-miesięczny i to w terenie uzbrojonym, a nie na „surowym korzeniu”.

Zwiedzam zakład wraz z inż. Stanisławem Jegierem, dyrektorem biura, nadzorującego budowę czterech równocześnie, podobnych fabryk. Nie mogę nie dostrzec, że wszystko tutaj pomyślano i wykonano „z głową”. Wnętrze najpierw sam układ pomieszczeń w budynku, uzależniony od kolejności poszczególnych faz produkcyjnych. Dalej — doskonałe warunki, wszystkie udogodnienia dla załogi: 4,7 m kw na każde stanowisko pracy (teoretycznie wyliczone optimum), cała ściana boczna hali przeszklona, a do tego szklany dach, jak w wymarzonej ateller malarza, urządzenia wentylacyjne, przestronne szatnie i umywalnie, które zabezpieczą od „korców” w momentach rozpoczęcia i koń-



czenia pracy, osobna sala o powierzchni 200 m kw, przeznaczona wyłącznie do spożywania śniadań. Pomyślano również o miejscu na zakładowe laboratorium, o pomieszczeniu dla celów szkoleniowych, a nawet przygotowano specjalne miejsce na magazyn ścieków i innych odpadków. Poza tym „drobiazgi” — w kotłowni zarezerwowano miejsce na dodatkowy kocioł wysokopiętny, który będzie potrzebny za lat parę, gdy zakład zostanie wyposażony w nowe maszyny prasownicze; wszystkie pomieszczenia wyposażono w termiczną sygnalizację przeciwpożarową; gniazda elektryczne w halach rozmieszczone zostały tak, by umożliwić dowolne ustawienie maszyn, zależnie od przyjętego systemu produkcji.

Dla kogoś, kto zna stare fabryki odzieżowe w Łodzi, ta stanowi po prostu ośnienie. Nie dziwnego, budowano ją na podstawie kilkudziesięcioletnich doświadczeń, z myślą o człowieku i o właściwej organizacji pracy. Fakt, że nagromadzone doświadczenia nie zostały zmarnowane, napawa radością.

Cała inwestycja, łącznie z meblowaniem i w pokojach biurowych, radiofonizacją obiektu i wydatkami na szkolenie załogi, zmieściła się w planowanym koszcie 20 milionów złotych, czyli nieco tylko powyżej 20 tysięcy w przeliczeniu na jedno miejsce pracy. Fabryka bowiem w przyszłości zatrudniać będzie blisko 1.000 osób, a już w październiku przyszłego roku jej załoga liczyć będzie 850 ludzi, głównie kobiety. Za dwa lata, jak przewidują specjaliści, osiągnie ona nie tylko wielkość, lecz i jakość produkcji, jaką obecnie reprezentuje „Wólczanka”.

Z tą jakością sprawa będzie niewątpliwie najtrudniejsza, gdyż w tym wypadku decyduje nie tylko poziom techniczny fabryki, lecz przede wszystkim — umiejętności pracowników, rzemieślnicze tradycje.

Perypetie z kompletowaniem kadry specjalistycznej dla łaskiej „odzieżówki”, były wielce charakterystyczne. Dokładna penetracja terenu wykazała, że w Łasku mieszka 1 (słownie jeden) mistrz odzieżowy, pracujący w Pabianicach. Skuszonego perspektywą pracy na miejscu i obietnicą mieszkania. Znalaziono również jednego krolewicę i jednego rzemieślnika, surowego, ale rokującego nadzieje. Posłano go na

przeszkolenie do „Wólczanki”. Trzeciego zdobyto właśnie z „Wólczanki”, bo jest mieszkańcem Pabianic i do Łasku ma taką samą odległość jak do Łodzi, tyle, że kierunek o 180 stopni odwrócony.

Z „Wólczanki” również dowozi się na każdą zmianę 2 brygadziści, które szkolił przyszedł personel. Nazwa tej łódzkiej fabryki o doskonałej renomie, nie bez przyczyny pada tutaj tak często. Zanim jednak wyjaśnimy tę zależność, musimy cofnąć się nieco wstecz.

Otóż w początku lat sześćdziesiątych zapadła decyzja zbudowania w województwie łódzkim czterech fabryk odzieżowych. Wytypowano Łask, Poddębice, Wieruszów i Tomaszów, a więc miasta i rejony, odczuwające największy brak miejsc pracy dla kobiet. Budową zajęło się oczywiście Zjednoczenie Przemysłu Odzieżowego, a przygotowaniem dokumentacji Biuro Studiów i Projektów Typowych Budownictwa Przemysłowego w Warszawie.

I w tym miejscu należy zrobić pierwszą charakterystyczną uwagę: otóż postanowiono 3 spośród czterech fabryk wybudować w oparciu o identyczny, tzw. powtarzalny projekt. Zaś projekt czwartej, tomaszowskiej, która ma być dwukrotnie większa od tamtych, zachować również jako powtarzalny dla inwestycji na dalszą przyszłość. Uzyskano w ten sposób poważne oszczędności w fazie projektowania, można było ujednolicić wszystkie elementy konstrukcji i wyposażenia, co w efekcie pozwoliło znacznie przyspieszyć roboty. Skutkiem dobrej organizacji pracy w Łódzkim Przedsiębiorstwie Budownictwa Przemysłowego nr 2, a także ofiarności załogi, której szefowie — kier. M. Łoboda i mistrz Sobczak, dosłownie nie schodzili z placu robót, Łask wyprzedził o jakieś 8 tygodni Poddębice i Wieruszów, choć wszystkie 3 budowy zaczęte były równocześnie. Dzięki temu można było doszczególnić, zdobyte w Łasku, przenosić „żywcom” do dwóch pozostałych ośrodków.

W tym miejscu należy zrobić drugą uwagę charakterystyczną: Otóż wszystkie 4 obiekty podporządkowano organizacyjnie jednej placówce, nadzorczej, choć zwykle w takich wypadkach dla każdego organizmu się osobną „dyrekcję w budowie”. I ten eksperyment zdał egzamin. Dyrekcja Budowy Zakładów Odzieżowych, kierowana przez wspomnianego już inż. Jegiera, człowieka w wiecznych rozjazdach, dała sobie doskonale radę z trudnym i nietypowym zadaniem. Po uruchomieniu tych czterech fabryk, nie zostanie rozwiązana, gdyż na najbliższą przyszłość szykuje się dla niej nowe roboty. Według wstępnych projektów, w następnej 5-letce będziemy budować już nie 4, a trzynaście „odzieżówek”, dużych i małych, czyli typu „Łask” i typu „Tomaszów”, z czego tylko dwie w województwie łódzkim, a resztę — w całym kraju, od Sosnowca przez Kraków do Wejherowa, w Rzeszowie, Lublinie, Białymstoku, Olsztynie i innych miastach. Wszystkie te obiekty prowadzić będzie właśnie dyrekcja łódzka, choć helikoptera dla niej na razie nie przewidziano.

Kiedy zapoznawano mnie z tymi projektami, na marginesie nasunęła mi się uwaga: czy aby nie za dużo tych „odzieżówek”? Wyprowadził mnie z błędnego przypuszczenia dyr. Bartoszewski ze Zjednoczenia Przemysłu Odzieżowego. Otóż w Polsce „konfekcjonuje się” obecnie tylko około 50 procent tkanin, produkowanych przez przemysł, natomiast w Czechosłowacji i NRD — dla przykładu — 80 procent, a w innych, rozwiniętych krajach — jeszcze więcej. Popyt na odzież gotową jest właściwie nieograniczony, byle tylko reprezentowała ona przyzwoity poziom, mogła skutecznie konkurować z wyrobami mistrzów igły.

A zatem, najważniejszą staje się właśnie sprawa jakości produkcji. Niezbyt trudno zapewnić tę jakość w Łodzi, gdzie istnieje laboratorium i wzorcownię, gdzie są tradycje i specjaliści. Ale jak ustrecz od masowego produkowania „bubli” fabrykę w Łomży lub Mińsku Mazowieckim? I w tym miejscu właśnie należy zrobić trzecią uwagę charakterystyczną, wskazać na trzeci eksperyment odzieżowców.

Wszystkie 3 fabryki — w Łasku, Poddębicach i Wieruszowie — będą nosiły identyczną nazwę: „Zjednoczone Zakłady Przemysłu Odzieżowego — Wólczanka”. Rzecz przesądziła nie w sztydzie, a w tym, co się pod nim kryje. Otóż „Wólczanka” wraz z trzema siostrami tworzy organizacyjnie wspólne przedsiębiorstwo. Co zepsują w Łasku, odbije się na realizacji planu i placach w Łodzi, czy Wieruszowie. Miejmy więc uzasadnioną nadzieję, że nie zepsują: Potwierdziłaby to zresztą bardzo rozsądnie prowadzona akcja przygotowania nowych zakładów do podjęcia produkcji. Ruszą one z dniem 1 stycznia, ale np. w Łasku od sierpnia już istnieje dyrekcja, od września szkoli się w „Wólczance” personel techniczny, zadziergnięto już ściśną współpracę „Wyskoczka” jeszcze na pewno liczne, nieprzewidziane kłopoty, ale stwierdzić można, iż zrobiono wiele, by pomyślnie usposobić moce zwane „warunkami obiektywnymi”, na które często przywykło się u nas zwać winę.

* * *

Przy wyjeździe z Łasku jeszcze jeden rzut oka na „zagrodę bogatego badylarza”, jeszcze garść refleksji. Z nich najprostszą: jeśli każda z zatrudnionych tu kobiet zarobi w pierwszym okresie pracy choćby 1.200 złotych, to społeczeństwo Łasku i okolic dostanie co miesiąc zastrzyk w postaci okragłego miliona. Miliona, bez którego dotychczas trzeba się było obejść. Jak wiele to oznacza, na ile jest istotne w procesie tzw. aktywizacji terenu? A jakie będą dalsze konsekwencje powstania dużego, nowoczesnego zakładu w 9-tysięcznym miasteczku?

Na te wszystkie pytania będzie można udzielić odpowiedzi za rok, dwa.

JULIAN BRYSZ

ZWYCZAJNY DYŻUR

— Dziś będzie spokój. Normalny, zwyczajny dyżur. Lepiej byłoby gdyby pan przyszedł w dzień wypłaty albo w dzień popularniejszych imiennin. Wtedy...

Zapewniam kapitana, że właśnie taki normalny, zwyczajny dyżur odpowiadają mi całkowicie. Oficer uśmiecha się uprzejmie.

— Proszę bardzo, niech się pan rozgości — powiada bez przekonania. Przez moment mam ochotę wyjaśnić dokładnie czemu nie zależy mi na tym, by obserwować jakiś szczególnie ożywiony dyżur, ale rezygnuję z tego. Nie chcę przeszkadzać kapitanowi, który właśnie przez dyktafon wymienia jakieś związane informacje z dyżurnym sierżantem siedzącym w sąsiednim pokoju, którego widzę wyraźnie przez wielką taflę szklaną.

Siadam przy stole oficera dyżurnego, rozkładam swój notes i spoglądam na zegarek. Jest 21.30. Na biurkach dyżurnych palą się lampy osłonięte kloszami; w obu pokojach panuje półmrok, a za lśnięciami lekko szybami okien jest zupełnie ciemno. Siedzę w milczeniu, przysłucham się i przysłuchuję wszystkiemu co się tu dzieje. Po kilku minutach zaczynam rozumieć mechanizm pracy obu dyżurnych, pracy która odbywa się w ciszy przerywanej od czasu do czasu brzęczeniem telefonu, krótkimi informacjami czy poleceniami oraz równie lakonicznymi rozmowami, jakie przez radiotelefon prowadzi sierżant z załogami radiowozów patrolujących miasto. Tak ujawniają się tu, na stanowisku dyżurnego miasta, poszczególne sprawy i wydarzenia rozgrywane się na ulicach, na podwórzach, w mieszkaniach.

Początkiem każdego z tych wydarzeń jest dzwonek telefonu stojącego na biurku dyżurnego oficera. Kapitan podnosi słuchawkę, odbiera przekazywaną z miasta informację lub wezwanie, notuje niezbędne dane i szybko kończy rozmowę. Potem, przez dyktafon podaje sierżantowi adres miejsca, w które należy skierować radiowóz oraz krótką charakterystykę wydarzenia. Podczas, gdy kapitan zapisuje zgłoszenia do dużej, porubrykowanej księgi sierżant wzywa radiowóz patrolujący najbliższe wskazane miejsce i po leca mu udać się na miejsce wydarzenia. Radiowóz potwierdza polecenie interwencji, a sierżant podaje kapitanowi numer interwencji w tej sprawie patrolu, dla zapisania w książce wydarzeń. Potem, na wielkim, podświetlonym planie miasta, czerwonym światłem oznacza rejon patrolowania, w którym przeprowadzana jest interwencja; dzięki temu widać na pierwszy rzut oka, które radiowozy są w akcji, a które nie mają w danej chwili szczególnych zadań. Teraz pozostaje jedynie czekać na meldunek jaki złoży po zakończeniu interwencji radiowóz. Meldunek ten sierżant przekazuje kapitanowi, który sporządza w książce odpowiednią notatkę; jednocześnie rejon patrolowania tego radiowozu, który zadanie swe wykonał zostaje podświetlony na biało.

Po kwadransie przestaje mnie już frapować egzotyka zewnętrznych objawów pracy dyżurki. Zaczynam zwracać baczniejszą uwagę na to, jakie sprawy, jakie wezwania docierają tu z miasta. W ciągu mniej więcej dwóch godzin zanotowałem:

⊙ Matka prosi o uspokojenie syna, który wrócił do domu w towarzystwie pijanego kolegi i awanturuje się.

⊙ Młody człowiek prosi o pomoc; pijany kolega docułka jemu i matce.

⊙ Właściciel zawiadamia o kradzieży motocykla.

⊙ Mężczyzna zawiadamia, że pijany syn pobił jego i matkę (ten sam adres, który podawał syn wzywający pomocy przed pijanym ojcem).

⊙ Przechodzień informuje o grupie awanturników zaczepiających ludzi przed Klubem Studentkim.

⊙ Kobieta prosi o obronę przed pijanym mężem.

⊙ Przechodzień informuje, że na Niciarnianej leży pijany.

⊙ Właściciel zawiadamia o kradzieży motocykla.

⊙ Przechodzień skarży się na grupkę mężczyzn awanturujących się przed hotelem „Savoy”.

⊙ Kobieta skarży się, że pijany syn wypędził ją z mieszkania i nie wpuszcza.

Proszę oficera dyżurnego — jest nim teraz major, który około 22 zmienił kapitan — aby pozwolił mi porównać moje notatki z zapisami uczynionymi w „Książce wydarzeń”. Przeglądamy ją razem.

— Nie ciekawego — mówi major. — Zwyczajny, spokojny dyżur. Może miałby pan ochotę przejechać się na miejsce jednej z interwencji?

Prawdę mówiąc nie mam ochoty oglądać z bliska sytuacji, w której człowiek, pod wpływem alkoholu zatracił cechy człowieczeństwa. Rozumiem jednak, że dłuższe przesiadywanie w dyżurce nie ma już większego sensu; pomnożę najwyższą listę spraw, a warto zobaczyć, jak wyglądają w terenie interwencje, docierające do dyżurki jedynie w formie lakonicznych meldunków.

Krótki i wysoki „Łazik” szybko sunął przez puste już prawie, oświetlone ulice. Wydawało mi się, że wciąż jeszcze siedzę w dyżurce, gdyż pod budą samochodu słyszałem przez radiotelefon głos sierżanta dyżurnego wydającego dyspozycje patrolującym samochodom. Dopiero gdy po przybyciu na miejsce wysiadłem z wozu — znajome odgłosy dyżurki zamilkły.

Noc była zimna choć pogodna, ulica — prawie pusta. Prawie — gdyż przed bramą interesującego nas domu stały dwie milicjynie „Warszawy” z dachami przystrojonymi kloszami niebieskich lampek. Tylko jeden radiowóz został tu skierowany na interwencję; załoga drugiego, patrolującego sąsiedni rejon, nie obciążona żadnym konkretnym zadaniem przybyła samorzutnie, aby pomóc kolegom i rozproszyć monotonię beczynnego oczekiwanego na zadanie.

Przez otwartą bramę weszliśmy na podwórze obudowane dookoła kilkucipitrowymi oficynami. Mimo późnej pory wiele okien świeciło jasno; w kilku otwartych widniały sylwetki ciekawskich. Na podwórzu, pod jednym z parterowych okien, stało kilka postaci w milicyjnych mundurach a jakiś spokojny, głęboki głos przedkładał: „Chłopce, po co ci to? Daj sobie spokój”. „Nie puszczę was, nie puszczę!” pokrzykiwał podniecony dyszant za okna.

Z informacją milicjantów i pochlipywań poprawiającą sylfakro kobiety zorientowałem się w czym rzecz. Młodzieniec, który pojutrze miał rozpocząć odsiadywanie kary za chuligańskie awantury, wrócił do domu pijany, wypędził z mieszkania matkę, zamknął się i pochwiał kurki przy kuchence gazowej. Wezwani milicjanci zamknęli w piwnicy

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE

Już z szczytu widać Sulejowskie Opactwo; a gdy przejedziemy most na Pilicy, skrocimy w lewo i mozolnie piąć się będziemy pod górę zapyłoną, wapienną drogą — trud nasz sówicie się oplaci; stanimy wreszcie pod cudownym kompleksem budowli, otoczonym wokół murem.

Przez Krakowską Bramę na dziedzińcu i oto kościół romański z XII wieku w otoczeniu wysokich drzew.

Mury składane z ciosów piaskowca zwyczajnie i prosto, w górze wąskie okienka; dyskretna kostka na fryzie pod dachem; nie ująć, nie dodać.

Skromne wejście z boku nie zapowiada nie ciekawego. Ale po przekroczeniu progu stajemy osłnieni. Kapitularz — Cudo! Budowany z dużych sześciątów i granastopupów kolorowego piaskowca; jasny fiolet, róż, oranż, ugiel, siena palona; poprzekładane kontrastowo i z umiarem zestawione. Zupełnie jakby się bawiło dziecko układając duże klocki. Obramowanie wejścia, przełoczy i wewnętrznych okienek bardzo prosiutkie z ciepłego, kremowego piaskowca; ściany płoną cynobrową cegłą. Sklepienie wsparte na jednej krępej kolumnie z rzeźbionym kapitelem. Całość barwna i wesoła, a gdy słońce



dopływ gazu, a teraz pertraktowali z chłopakiem, aby nie robił głupstw i wpuścił ich do mieszkania. „A siłą wejść nie możecie?” — spytał porucznika, który mnie tu przywiózł. Wzruszył ramionami. „Matka się nie zgadza. Wezwwała nas, ale nie godzi się by wyważyć drzwi. Jest właścicielką mieszkania”. Zdziwiłem się. „No to co możecie tu pomóc?” Porucznik nie odpowiedział; odszedł pod okno, zza którego dobiegał histeryczny krzyk: „Ja wam pokażę! Ja wam pokażę! Patrzcie!”

Stałem na środku podwórza i nie kwapiłem się dokładniej obserwować rozwoju sytuacji. Na szczęście nie muszę osobiście rozwiązywać takich zadań; o tym co się dzieje dowiadywałem się od obserwatorów. Niesoszły samobójca chwycił za żyłkę, przeciął sobie skórę na przedramieniu i rozsmazał krew po twarzy i szybie wykrzykiwał, że zrobi to co chce. Słyszałem jak jeden z milicjantów proponował, że wejdzie do mieszkania przez okno i wyciągnie chłopaka na podwórze. Porucznik uważał jednak, iż na forsowanie drzwi czy okna jeszcze nie pora; manipulacje z żyłką nie są dla amatora samobójstwa niebezpieczne. Zanościło się na to, że o ile pijany chłopak nie zrobi sobie poważniejszej krzywdy, trzeba będzie czekać pod tym oknem tak długo, aż wytrzeźwieje i uspokoi się.

I rzeczywiście czekaliśmy cierpliwie. Przyznaję, że nie mogłem zrozumieć czemu tak się dzieje, czemu milicjanci ograniczają się tylko do konwersacji z zamkniętym w mieszkaniu awanturnikiem. Dowódca radiowozu, który przybył tu z własnej inicjatywy przeżywał chyba podobne uczucia. „Zobaczy pan — mówił — ten łobuz będzie się jutro chwalił wszystkim kumpłom, że nie wpuścił milicji do mieszkania i kazał jej stać pod oknem. Bohater, cholera”. Ucieszyłem się. „Pan by się tak nie cackał, prawda?” Plutonowy spojrział na mnie uważnie. „Cackałbym się” powiedział „Cackałbym się, tak samo. To, że się facet upił i rozrabia to jeszcze nie powód, żeby mu szyby tłuc i drzwi rozwalac. W naszej służbie trzeba cierpliwości”.

Chodziłem po podwórzu pełen irytacji jaka ogarnia, nie tylko chyba mnie, gdy rozsądek mówi co innego, niż pasja; racja sierżanta przypominała mi te oczywiste wskazania, które najtrudniej jest realizować. Pod oknem zapamiętałem rozmowy samobójcy ucichły, gdyż porucznik pertraktował teraz z chłopakiem w klatce schodowej poprzez zamknięte drzwi.

W niektórych oknach pogasty światła, na podwórzu zrobiło się przestronniej, bo ce bardziej zażartych ciekawskich milicjanci nakłonili do powrotu do mieszkań.

Wyszedłem na ulicę i przysiadłem na fotelu „Lazika”, aby posłuchać co się w mieście dzieje. Za chwilę głos dyżurnego sierżanta skierował jakiś radiowóz na ulicę Główną, gdzie w klatce schodowej spi jakiś mężczyzna. Wkrótce potem z głośnika zabrzmiał komunikat odwołujący potrzebę poszukiwania wiśniowej „Jawy”, jak się okazało motocykl nie został bynajmniej skradziony, lecz zabezpieczony przed kradzieżą przez pieczy patrol milicyjny, który nie mógł odnaleźć właściciela maszyny pozostawionej bez opieki na ulicy. „I taki jeden z drugim dziwi się potem, że mu maszynę podwędzą” — mruknął pod adresem niefrasobliwego właściciela kierowca „Lazika”.

Zauważyłem, że przy jednym z radiowozów krzątają się milicjanci i wysiadłem z samochodu. Okazało się, że porucznik ciągle jeszcze pertraktuje z zamkniętym w mieszkaniu chłopakiem. Załoga radiowozu, który przybył tu z własnej inicjatywy, doszła do wniosku, że nie jest tu potrzebna i postanowiła odjechać do własnego rejonu patrolowania. Wkrótce przed bramą zostały tylko dwa samochody. Wróciłem na podwórze, ale nie tam nie działo ciekawego; było cicho i prawie pusto. Tylko przy wejściu na klatkę schodową stało paru

milicjantów rozmawiających półgłosem z matką bohatera całej awantury. Jeden z nich czynił jej wymówki, że przez jej syna nie może wrócić do domu choć czas służby skończył mu się już przed godziną. „Czy ja tego chciałam, mój panie?” biadoliła kobieta.

W dziesięć minut później wracaliśmy do Komendy. Porucznik był bardzo zadowolony; udało mu się skłonić chłopaka do otwarcia drzwi. Na miejscu pozostał patrol pieszy, który miał dopilnować, aby niesoszły samobójca położył się spać. Do podoficera dyżurnego komendy powędrował za pośrednictwem radiotelefonu meldunek: „Przywrócono porządek. Zgłaszającą pouczone”. „Co to znaczy: pouczone?” — zapytałem. Porucznik uśmiechnął się: „Zawiadomiliśmy ją, że jeśli chce, aby sprawa miała jakieś dalsze konsekwencje musi złożyć w Komendzie Dzielnicowej pisemną skargę na syna”. Zdziwiłem się: „Przecież ona tego nie zrobi”. „Na pewno nie zrobi” przytaknął porucznik. „Więc chłopakowi ujdzie to na sucho?” — spytałem.

Na stanowisku oficera dyżurnego nie zastałem żadnych zmian. Nadal od czasu do czasu — tyle, że rzadziej niż poprzednio — brzęczał sygnał telefonu: informacje składane przez załogi radiowozów krzyżowały się z lakonicznymi rozmowami, jakie prowadzili dyżurni. Na pianie miasta prawie wszystkie rejonu patrolowania podświetlone były białymi żarówkami.

Poprosiłem majora by pozwolił mi zerknąć do swojej księgi. Chciałem zobaczyć w jaki sposób załatwiono interwencje, które zapisałem w swoim notatniku. Było ich — spojrzcie wyżej — dziesięć. Słowo: „Pouczone” figurowało w księdze dyżurnego wiele razy; pouczone matkę, że może złożyć pisemną skargę na syna; pouczone syna, że może złożyć skargę na ojca, pouczone żonę, że może złożyć skargę na męża, pouczone matkę... Połowa z zapisanych przeze mnie interwencji została skwitowana tym słowem „pouczone”. Wiedziałem już co to słowo znaczy, widziałem także ile czasu, dobrej woli i cierpliwości pochłania interwencja kwitowana tym słowem. Spytałem majora czy często zdarza się, że „pouczeni” składają skargi w Komendach Dzielnicowych.

— Nigdy tego nie robią — odpowiedział.

— Więc te wszystkie — postukałem ołówkiem po notatniku — te wszystkie awantury nie dochodzą ani na kolegla, ani do sądów?

— Nie — powiedział major. — Nie dochodzą, bo nikt ich nie wnosi.

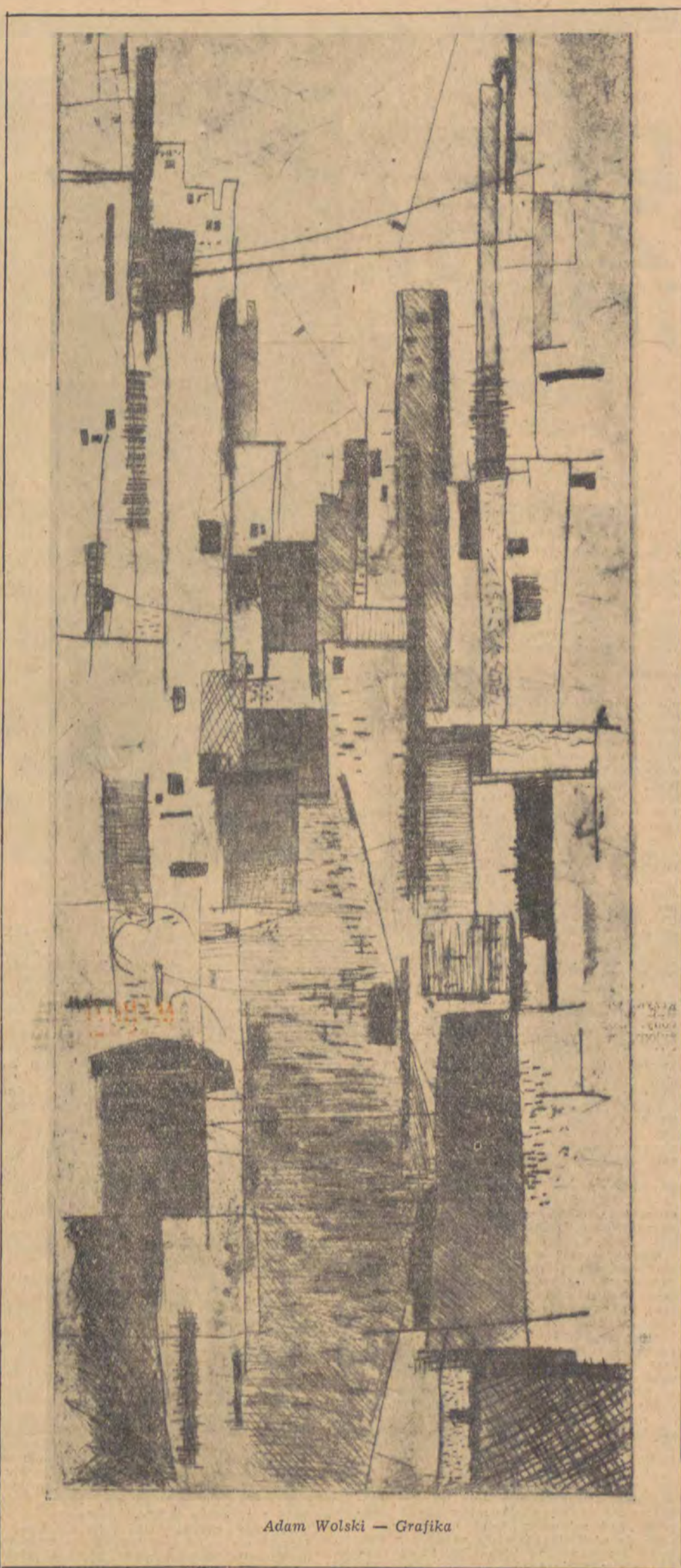
— A wy nie możecie? Milicja?

— Możemy, ale nie robimy tego. Wiemy już czym się takie wnioski kończą. Uczestnicy zajścia oświadczą kolegium, że nie mają do siebie pretensji, że to było nieporozumienie rodzinne a „nieporozumienie rodzinne” nie jest karalne. Nie jest także karalna awantura w mieszkaniu, bo nie stanowi „zakłócenia porządku publicznego” jako że mieszkanie nie jest miejscem publicznym.

Wróciłem do swoich notatek. Pięć razy uśmierzano nieporozumienia rodzinne, raz odwieziono pijanego do izby wytrzeźwień, raz, wskutek fałszywego zgłoszenia, wszczęto poszukiwanie skradzionego motocykla, raz samym pojawieniem się radiowozu spłoszono grupkę awanturników. Na dziesięć spraw zgłoszonych w mojej obecności do dyżurnego miasta aż osiem zakończyła sama milicja; nie będą już one miały żadnego dalszego biegu. „Normalny, zwyczajny dyżur” mówił oficer dyżurny.

No tak, taki właśnie dyżur chciałem obejrzeć bliżej, zerknąć na powszednią pracę milicyjną w naszym mieście. Prawdę mówiąc inaczej ją sobie wyobrażałem. Nie sądziłem, że tak często w niebieskich milicyjnych warszawach jadą na miejsce interwencji ubrani w milicyjne mundury taktowni i cierpliwi wychowawcy, troskliwi pielęgniarze, rozjemcy sąsiedzkich i rodzinnych sporów..

EDWARD SZUSTER



Adam Wolski — Grafika



wpadnie przez okienko — wewnątrz pali się jak rubin.

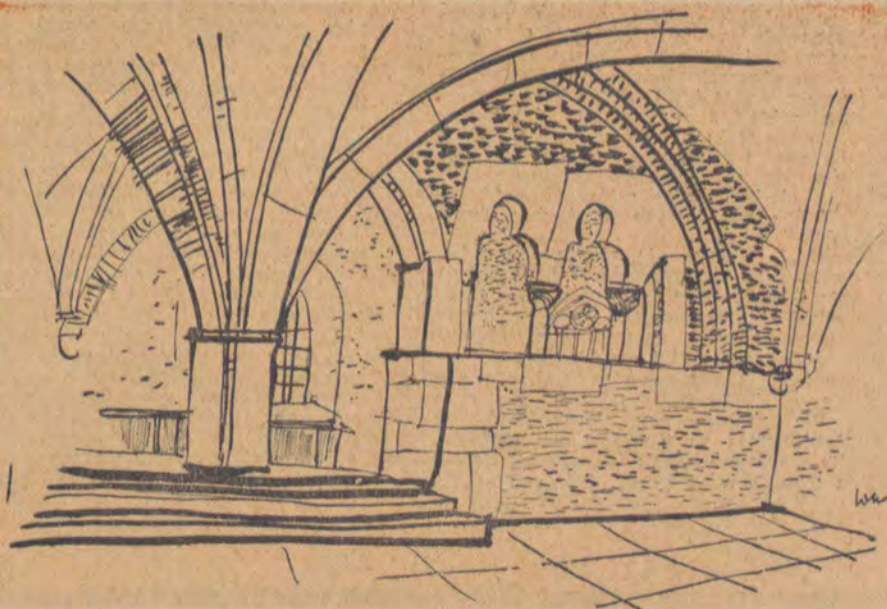
Nie dziwię się, że Pan Misiurski zwarował na punkcie Opactwa, a szczególnie upośobał sobie kapitularz. Urządził tam małe muzeum z przedmiotów przez siebie znalezionych i pośląganych zewsząd, a dotyczących Opactwa.

Bardzo tego skarbu pilnuje i każe z miejsc wpisywać się do pamiątkowej księgi. Kogoś tam kiedyś straszliwie objechano za to, że kazał zdrapać stalowymi szczerkami szarozieloną patynę (podobno kamień od tego może zachorować).

Ale dzięki temu nieszczęściu nieoczekiwane małe odkrycie: średniowieczni mistrzowie byli ludźmi pogodnymi o wesołej wrażliwości plastycznej (przynajmniej ci co budowali w Sulejowie). Bo przecież ten kapitularz, Panie Redaktorze, jest teraz w kolorze taki sam, jak osiemset lat temu! Chodzimy więc podniecen, zadzieramy głowy w górę, opuszczamy w dół, zaglądamy w zakamarki, przykucamy nad posadzką, wzdymamy wzrokiem po zawilosciach rzeźbionego kapitelu i nie chce nam się stąd ruszyć.

Nie dziwimy się, że Pan Tadeusz się zakochał w tych murach! Jeszcze chwila i my dostaniemy bzika!

WACŁAW KONDEK



DWIE ŻONY i MORAL NOŚĆ

Dalszy ciąg ze str. 1

o przeniesieniu do Warszawy. Napisał w tej sprawie kilka raportów do szefa wojewódzkiego i Ministerstwa Bezpieczeństwa, ale ugrzęzły gdzieś po drodze. Odwołał się więc do ostatniej instancji nadziei w tamtych czasach, do „Fali 49”. Zamiast odpowiedzi do Urzędu zjechał naczelnik departamentu łączności w Ministerstwie Bezpieczeństwa i poddał go małemu egzaminowi z telekomunikacji. Próba wypadła pomyślnie i w dwa tygodnie później przeniesiono go do pracy w Ministerstwie Bezpieczeństwa do centralnego wydziału radiowego. Mimo, że pracował tam krótko, nauczył się bardzo wiele, a jednocześnie odkrył luki w swojej wiedzy, których bez studiów nie dałoby się zalać. Zaczął więc marzyć o studiach na Wydziale Łączności. Pomógł mu przypadek. W nocy, gdy pełnił dyżur, poczuł się nagle bardzo słabo ręce i nogi spuchły mu i bolały przy próbie uczyńnięcia najmniejszego ruchu. Nie wiedział jeszcze, co to za choroba, choć domyślił się, że ma związek z Obinem i nocnymi wyprawami na morzyczary. Lekarz od ręki dał mu zwolnienie, które po dwóch dniach doręczył do wydziału, a w dwa tygodnie później, jeszcze niepełnie przyszedłszy do siebie, zgłosił się do pracy. Wezwano go do gabinetu, gdzie go zwymyślano. Nie odezwał się ani słowem.

W pięćdziesiątym trzecim złożył papierozam Politechnice. Ale było już za mało czasu, żeby solidnie przygotować się do egzaminu. Chociaż więc zdał na piątkę fizykę, na matematyce położył się bezapelacyjnie. W jednej chwili stracił pracę i nadzieję na studia. A ciężki na nim jeszcze ciągnący się od czasu śmierci ojca (1951 r.) obowiązek utrzymywania starej matki i nieletniej siostry.

Z wysoka spada się odwrotnie proporcjonalnie nisko. Wrócił teraz do domu rodzinnego, bądź co bądź ze stolicy, ale nie mógł na miejscu znaleźć żadnej pracy. Cała rodzina znalazła się w głodowej niemal sytuacji i zaczął wyrzucać sobie, że zbyt pochopnie wystąpił z ministerstwa. W momencie psychicznego załamania spotkał kolegę z ławy szkolnej, który w krytycznej sytuacji wyciągnął do niego rękę. Piętnaście kilometrów od miasta małe zakłady chemiczne wmontowane w wiejski pejzaż i stosunki. Dostał posadę referenta na oddziale wykonawstwa inwestycyjnego.

Atmosfera w zakładzie okazała się jeszcze gorsza niż to można było przypuszczać po pierwszej lustracji. Wywłaszczony właściciel, który w okresie okupacji przysnął do Szwajcarii, postanowił utrudnić pracę „reżimowi”. Na krótko przed śmiercią przysłał do kraju list, w którym uczynił jednego z mieszkańców najpierw w swym plebiscytem, a następnie spadkobiercą. Papier nie mający żadnej mocy prawnej, miał dużą siłę destrukcyjną, gdyż grał na najniższych instynktach człowieka, na chciwości. Spadkobierca był szeroko spokrewniony z mieszkańcami osady i pracownikami zakładów, toteż wlezy krwi i nadzieja zdobycia bogactwa uczyniła z nich małą, ale drapieżną koteryjkę, która rwał ko dała o sobie znać.

Oto fragment opinii branżowego związku zawodowego, który wymownie rzutuje na sytuację w fabryce: „Atmosfera w zakładzie była zawsze napięta i powodowała wiele trudności i kłopotów zarządcy okręgu. Prawie systematycznie w okresach jedno lub dwuletnich powstawały „rozrobki” pomiędzy kierownictwem zakładu a rodziną X. Bardzo często następowały zakłócenia w produkcji powodowane uszkodzeniem aparatów lub mylności do młelenia. Przyczyną tych uszkodzeń były zawsze części obce (metalowe), które znajdowano w tychże urządzeniach”.

Wprawdzie nikogo nie złapano za rękę, ale wszystko to przypomina jednak sytuację opisaną w powieściach o sabotażystach i dywersantach. W takim to młynku znalazł się początkujący referent i spoirzał na to oczami zwykłego, uczciwego człowieka. Początkowo milczał, ale gdy zorientował się, że rodzina X przygotowuje grunt do usunięcia całej kadry techniczno-inżynierskiej z zakładów na zasadzie: fabryka dla miejscowych — pojechał do Komitetu Powiatowego partii. Zwołano zebranie



nie partyjne, schowano do magazynu taczki, na których miejscowi chcieli wywieźć dyrektora. Był już w tym czasie kierownikiem oddziału wykonawstwa inwestycyjnego, gdyż zaimponował kiedyś wszystkim spostrzeżeniem błędów w montażu lodówki produkcji duńskiej, którego nie mogli wykryć fachowcy. Dano mu trzy i pół tysiąca złotych nagrody. Poczuł się potrzebny w fabryce zwłaszcza, że mógł znowu dostać swego elektronicznego konika.

Na polu tym zaczął odnosić jednak za drugim sukcesy, które najpierw próbowano podważać, ale zaraz i doceniać a nawet przeceniać. Ktoś puścił pogłoskę, że jemu wszystko się udaje, ponieważ ma chody jako były ubowiec. Jemu samemu zdawało się zaś, że nareszcie odnalazł swoje właściwe powołanie, zwłaszcza że i w sprawach osobistych zaczęło mu się wtedy szczęścić. W pięćdziesiątym piątym poznał w fabryce dziewczynę, która wkrótce została jego żoną. W rok później urodził im się chłopiec. W tym też roku wstąpił do partii.

Jak niegdyś niepowodzenia, tak teraz całą falą runęło na niego powodzenie. Udało mu się niemal wszystko. Akurat przyjechał objąć pracę w fabryce inż. S. Pracując na jednym oddziale zaprzyjaźnił się i zaczęli wspólnie prowadzić eksperymenty nad nie stosowanym w Polsce błękitem wtałocjaninowym. Inżynier opracował technologię, a on, technik, podjął się opracowania urządzeń do produkcji barwnika. Próby powiodły się, otrzymał więc patent na wynalazek przez siebie urządzenie. Zachećło go to do dalszej pracy. Postanowił zastosować do suszarek elektrycznych zamiast pary i opracował schemat zaworu wraz z układem sterującym. Prototyp przeszedł wszelkie oczekiwania, można więc było wystąpić o patent.

Przyszła nareszcie kolej na elektronikę. Uporał się z urządzeniem, które zrewolucjonizowało dotychczasowe metody mielenia barwników i teoretycznie rozpracował rozdrabnianie barwników wiskozowych przy pomocy ultradźwięków.

Poswięciwszy się wynalazkom i elektronicznie przykładał mało uwagi do swych spraw osobistych. Były wprawdzie kwasy, gdyż jego sukcesy uderzyły do głowy niektórym niezastąpionym w zakładzie. Ale mało przejmował się tym, co o nim mówią konkurenci zazdrośni o tę serię niewątpliwych sukcesów. Jak się to mówi, za żoną stała za nim wybierając go na przewodniczącego rady robotniczej, a w partii miano do niego zaufanie.

Pracując nad wynalazkami często teraz przesiadywał w zakładach po godzinach. W roku pięćdziesiątym siódmym zupełnie przypadkowo zauważył, że z zakładu wywieziono ciężarówką cegły, cement, dźwigary i inne materiały budowlane, które zmagazynowano na posesji kuzyna jednego z pracowników zakładu. Z głupia frant zapytał o te materiały jednego z ówczesnych dyrektorów zakładów, nie posłuchał dyrektorskiego wezwania do milczenia (właśnie dyrektor maczał w tej kradzieży palce) i publicznie ujawnił przestępstwo.

Materiały natychmiast wróciły do zakładu, jemu zaś przybyło jeszcze jedną przezwiszko: szpicel.

Wkrótce wykrył nieprawidłowość na odcinu inwestycyjnym, za którą wyleciał, tym razem do więzienia, następnym dyrektorem fabryki. Przydomek szpicel przylgnął więc do niego na dobre.

Wtedy postanowiono rozprawić się z nim ostatecznie. Poszły w świat anonimy, w których oskarżono go o kradzież dwóch motorów elektrycznych. Anonim wiedział, że dzwonią ale niestety nie wiedział gdzie. Motoraki elektryczne znalazły zastosowanie w wynalazkach i zostały nabyte legalną drogą od zakładu. Posypały się więc doniesienia o kradzieży części samochodowych, ale i to oszczerstwo miało krótki żywot.

Przeciwnikom wynalazcy przyszedł z pomocą przypadek. Dotychczas szukali planu na pracy zawodowej, teraz zaczęli zaglądać w jego życie osobiste. I wreszcie dostali do rąk argumenty.

W małżeństwie technika, gdzieś od wiosny 1958 r. coś zaczęło się psuć. Po spowiedzi wielkanocnej żona poczuła się chora i odmówiła współżycia. Zamówił więc wizytę u lekarza i dopiero wówczas żona powiedziała mu, że używanie środków antykoncepcyjnych jest ciężkim grzechem. Zbagatelizował to oświadczenie, jak pewnie zbagatelizowałby je każdy mężczyzna, gdyż uważał, że nadgorliwość religijna jego żony nie będzie trwała zbyt długo, ale ten stan ciągnął się całe lata. W roku 1960 zbliżył się do sekretarza rady zakładowej, kobiety jeszcze młodej i efektownej, która uciekla od swego męża-pijaka. Wkrótce o zblizeniu tym wiadomo w całym zakładzie. W rok później druga żona wynalazcy urodziła syna, który został uznany przez ojca i dostał jego nazwisko.

Zyczliwi szczegółowo informowali prawowitą żonę wynalazcy o postępach uczuć jej małżonka, dodając od siebie sporo pikantnych szczegółów. Ale ta kobieta, pozująca na świętą, jakby się zacięła w religijnej ekstazie i nie nie mogło wytracić jej z równowagi. Dwa synowie wynalazcy tymczasem rośli. Jeden dobiegł już ósmego roku życia, drugi, z tzw. nieprawego łoża, skończył dwa i pół roku. Wynalazca, który już nie musiał kłamać przed ślubną małżonką, zdaje się, też powoli osiągnął spokój duchowy i nawet zaliczył pierwszy semestr studiów na wydziale łączności Politechniki Gliwickiej. Jego życie osobiste było wprawdzie dalej skomplikowane, ale zawarł z matką drugiego dziecka umowę, na mocy której zobowiązał się płacić na syna 500 zł miesięcznie. Umowa ta, dokument najzupełniej prywatny, gdyż niepoświadczony notarialnie wpadł nagle w ręce prawowitej małżonki. Czego nie mogły sprawić najpikantniejsze informacje, sprawiło w jednej chwili to napisane czarno na białym zobowiązanie finansowe. Papier został podarty. Prawowita żona upomniała się o swoje prawa wyrażając zgodę na alimenty tylko dwustułotowe. Ale wynalazca postanowił jednakowo traktować swoich obu synów.

Wówczas to i „zyczliwi” mogli odegrać swoją rolę. Pod ich dyktando prawowita żona napisała skargę do zarządu głównego związku zawodowego z odpisami do miejscowych władz i instancji oskarżając swego prawowitego męża i jego nieprawowitą małżonkę. Jednocześnie „zyczliwi”, tym razem na własną rękę zaczęli nadsyłać cały cykl anonimów, omawiających już nie kradzież (bo to przejść nie mogło), ale stronę etyczne-obyczajową. Chociaż ciężar oskarżeń skierowany był przeciw aktualnemu przewodniczącemu rady robotniczej, większość pomyj wyłano, zgodnie z obyczajowością mieszczańską, na głowę sekretarza rady zakładowej, na kobietę.

Kiedy już grunt został dostatecznie przygotowany, sprawa życia osobistego wynalazcy stanęła na egzekutywie zakładowej POP. Tam zaś przybrała obrót najmniej spodziewany: zdecydowano bowiem usunąć wynalazcę z partii, a z zakładu, to się jeszcze zobaczy. W stosunku do kobiety postanowiono zastosować nieco łagodniejsze sankcje. Dostała nagane partijną z oszczerzeniem „le nie mówię o jej usunięciu z zakładu”.

Trzeba przyznać gwołi sprawiedliwości, że wynalazca nie zgłosił się na zebranie partyjne, na którym walkowano jego sprawie. Odnosił zresztą wrażenie, że o co innego go się oskarża, a o co innego rzeczywiście chodzi. Był człowiekiem niewygodnym, dla niektórych, bo umiał patrzeć na ręce i rzeczywiście patrzył im na ręce, a przy tym był uzdolniony, odnosił sukcesy za sukcesem. Gdy więc wrogowie naszego bohatera uprzytomnili sobie, że nareszcie mają nań haczyk postanowili go rozrobić. Tupetem swoim wprowadzili w błąd powiatową komisję, która na podstawie zrzeczenia sędziom egzekutywy miejscowej POP.

Wynalazca odwołał się od tej decyzji do instancji wojewódzkiej, która szczegółowo i obiektywnie zbadała sprawę. Okazało się wtedy, że zakładowa egzekutywa POP działała w izolacji od reszty szarych, choć uczciwych członków partii. Co dla egzekutywy było kamieniem węgielnym oskarżenia, dla pozostałych członków organizacji było sprawą czysto ludzką, osobistych powikłań. Wprawdzie wynalazca wiązać się z sekretarzem rady zakładowej nie uregulował prawnie sprawy swego rozbitego małżeństwa, ale brak stanowczości nie jest równoznaczny z łajdactwem. Zresztą aktualnie wynalazca zdecydował się już na krok stanowczy. Odszedł definitywnie od żony i płaci na swego starszego syna 1000 zł miesięcznie. Wytoczył również sprawę rozwodową.

Instancja wojewódzka uchyliła rażąco niesprawiedliwą decyzję powiatowej komisji kontroli partyjnej. Wynalazca mógł więc odzyskać wiarę w sprawiedliwość i pewnie zrozumiał, co w jego własnym postępowaniu było niewłaściwe.

KONRAD FREJDLICH



WARUNKI PRENUMERATY
 w Łodzi rocznik rb. 4, półrocznik rb. 2,
 kwartalnik rb. 1. Z odnośnikiem do do-
 mu i przesyłką przesyłką rb. 1 kop. 80.
 półrocznik rb. 2 kop. 40, kwartalnik rb. 1
 kop. 20.

Redakcja i Administracja:
 ŁÓDŹ, ZIELONA № 2.

CENY OGŁOSZENI:
 Ogłoszenia za tekstem 20 kop. za wiersz
 pełnu 1-szpaltowy. — Reklamy w tekście
 za wiersz garmotowy rb. 1. — Margines
 przez całą długość strony rb. 10.—

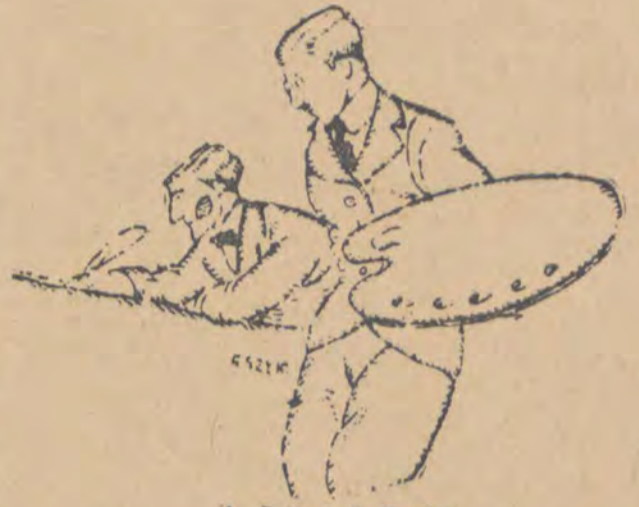


najbardziej znanych Poloni-
 ców należy iluminowany re-
 kopis Statuów Kaliskich.
 Jednak uznanie artysta zdobył
 przede wszystkim poza kra-
 jem. Wystawiał we Francji i
 prawie we wszystkich więk-
 szych miastach Stanów Zjed-
 onych, gdzie twórczość jego
 zyskała dużą popularność.
 Jedną ze zdobionych przez
 niego książek wystawianych
 ostatnio na Warszawskich
 Międzynarodowych Targach
 Książki stanowiła sensacja
 nie tylko ze względu na
 wspaniałe wyposażenie typo-
 graficzne, ale również dzięki
 oprawie z kutego srebra, w
 jaką zaopatrzył książkę izra-
 celski wydawca.

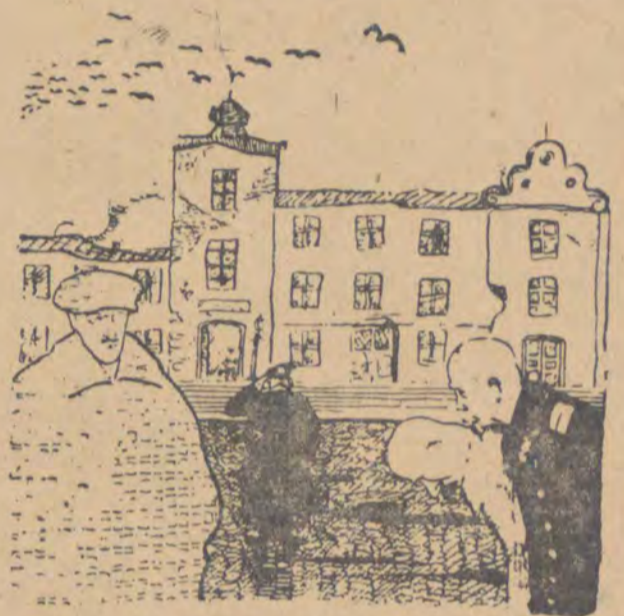
Twórczość i osoba Szyka
 nie jest szerzej znana w je-
 go rodzinnym mieście. Artur
 Szyk pozostawał w przyjaźni
 ze swym rówieśnikiem poetą
 Julianem Tuwimem. W roku
 1918 był ilustratorem pierw-
 szej, satyrycznej książki Tu-
 wima „Revolucja w Niem-
 czech”, którą ozdobił kapi-
 tałnymi rysunkami. Na kar-
 cie tytułowej widnieją dwie
 postacie — portret-karykatura
 Tuwima i autoportret rysow-
 nika. Kiedy w czasie ostat-
 niej wojny los rzucił Tuwima
 do Nowego Jorku, pierwsze
 swe kroki skierował poeta do
 mieszkania przyjaciela, Artu-
 ra Szyka.

O łódzkich początkach kar-
 iery Szyka niewiele wiada-
 my nawet jego biografowie. Już
 w czasie studiów zadebiuto-
 wał artysta w regionalnym
 piśmie satyrycznym „Śmiech”
 (1911-1914) szeregiem rysun-
 ków związanych z aktual-
 nymi wypadkami w mieście.
 Obok dojrzałego Wacława
 Przybylskiego był Szyk dru-
 gim nadwornym portrecista
 miasta i jego spraw. Między
 innymi zamieścił on w „Śmie-
 chu” cały cykl rysunków
 „Obrazki łódzkie”, wykonał
 też do dziś aktualną karyka-
 turę Dworca Fabrycznego.
 Osobnym rysunkiem upamię-
 nił fakt zawodu, jakiego do-
 znali łódzcy kinomani, któ-
 rzy nie dojechali się zapo-
 wiedzianego przyjazdu do
 miasta boskiego Maksa Lin-
 dera, bowiem artysta jadąc
 do Warszawy i Petersburga
 wbrew obietnicom ominął
 Łódź.

Artysta nigdy nie pozbył
 się swej młodzieńczej pasji



A. Szyk i J. Tuwim



Jakim cię widzą, takim piszą.
 Przyjezdny dygnitarz: Więc to ma być polski Man-
 chester? Ależ to raczej na Ochów zakrawa, sądząc
 po dworcu kolejowym. U nas — platformy dla pod-
 wozu bydlę są znośniejsze.



Walka teatrów w Łodzi.

ŁÓDZKIE RYSUNKI ARTURA SZYKA

NIEBEZPIECZNY SZYK

„Karykatury” mają szyk
 gdy wyjdą spod ołówka
 Szyka,
 kto nie chce w „Śmiechu”
 tkwić jak byk,
 — niech z nim się lepiej
 nie spotyka.
 (Anonimowa frazka
 ze „Śmiechu” 1914)

Artur Szyk, malarz i ilu-

strator, urodzony w Łodzi w r.
 1894, zmarły w Stanach Zjed-
 nonych w 1951, należał do
 tych łódzian, którzy zdobyli
 swoją twórczością popular-
 ność sięgającą daleko poza ro-
 dzinne miasto. Zastąpił przede
 wszystkim jako miniatur-
 zysta i odwołicieli zapomnia-
 nej sztuki iluminowanych re-
 kopisów. Artysta studiował w
 Paryżu, gdzie też spędził du-
 żą część swojego życia. Na-

stępnie w czasie drugiej woj-
 ny światowej przez Anglię
 wyemigrował do Ameryki, w
 której pozostał do śmierci.

Szyk, twórca pięknej ilu-
 strowanej książki, angielskiej,
 francuskiej, hebrajskiej, he-
 brajskiej, nie zerwał nigdy
 kontaktów z kulturą polską.
 Malarz powracał kilkakrotnie
 do kraju, ilustrował polskie
 książki, ba, nawet odbywał
 służbę w polskim wojsku. Do

satyrycznej nawet w później-
 szej sztuce miniaturowej
 chętnie umieszczał elementy
 żartobliwe. W czasie wojny
 powrócił do satyry sensu
 ściśle zamierzającego w pi-
 smach amerykańskich liczne
 karykatury o tematyce anty-
 faszystowskiej.

Z łódzkiego okresu twórc-
 zości Artura Szyka prezen-
 tujemy kilka rysunków.

JANUSZ DUNIN



PTAKI

Zaprezentowano nam tą
 niewielką powieścią nie
 znanego Polakom, choć
 bardzo wziętego w swoim
 kraju i poza jego granicami
 pisarza norweskiego.
 Dobiegający już siedem-
 dziesiątki Tarjei Vasaas
 otrzymał za swą bogatą
 twórczość liczne nagrody,
 by wymienić tylko
 norweską nagrodę pań-
 stwową, Premio Venezia,
 a ostatnio nagrodę litera-
 cką Krajów Skandynaw-
 skich. Ale bohatera „Pta-
 ków” spotykaliśmy już w
 literaturze Północy: Mat-

tis, uchodzący w rodzinnej
 wiosce, a nawet w oczach
 opiekującej się nim sio-
 stry za człowieka niespeł-
 na rozumu, nie przystoso-
 wanego do normalnego ży-
 cia i pracy, staje się bli-
 skim krewnym bohaterów
 Björnsona, Sigurda Hoela,
 Szindberga, a także —
 jeśli zawedrować do Niem-
 ców — „Głupca” G. Haupt-
 manna.
 Ale zwłaszcza to ostat-
 nie powinowactwo wypu-
 kła oryginalności, nie tylko
 literackiej autentycz-
 „Ptaaków”: Mattis nie jest
 bosonogim prorokiem, jest
 raczej poetą zabłąkanym
 do prymitywnej wioski i
 rodziny o ubogiej wy-
 obraźni, poeta, skazanym
 przez swą wyobraźnię (któ-
 rej nikt poza nim, a na-
 wet i on sam nie potrafił
 wyrozumieć i wypowied-
 zieć), najpierw na drwian-
 ca samotność, a później —
 na śmierć, równie samot-
 na; choć pewnie bardziej
 od tej wyobraźni dla in-
 nych zrozumiałą i użytecz-
 ną. „Ptaaki” wstrząsają bar-
 dziej niż socjologiczne stu-
 dia i egzystencjalistyczne
 manifesty alienacji, wy-
 obcowania, „samotności w
 tłumie”, choć ten tłum
 jest w książce Vasaasa
 garstka wiosłowej gawie-
 dzi, przypatrującej się
 Mattisowi z litościwą obo-

jętnością, jak nieporadnie
 mlotającym się, dogory-
 wającemu wróbiowi, który
 wypadł z gniazda. Ale, by
 posłużyć się ostatnimi sło-
 wami powieści, „obojętne,
 czy ptak był duży, czy
 mały — nikt go nie usły-
 szal”.

Z. P.

Tarjei Vasaas: „Ptaki”.
 Przekład Beaty Hlasko.
 PIW, 1964, s. 212, cena 13
 zł.

POWIEŚĆ O WIELKIM MIEŚCIE

Może lepiej byłoby po-
 wiedzieć: powieść o lu-
 dzkach wielkiego miasta.
 Herbert Zand, austriacki
 liryk i prozaik, urodzony
 w 1923 roku, napisał „Spad-
 kobierców ognia” w ro-
 ku 1960. Spotkała się ona
 z dużym powodzeniem za-
 równo u krytyków, jak i
 u czytelników. Akcja tej
 powieści dzieje się w
 Wiedniu w środowisku
 dziennikarskim. Ale nie
 tylko w nim. Oglądamy
 tu różne środowiska wiel-
 kiej metropolii, niegdyś
 sławnej i rozgłoszonej, dziś
 żyjącej już raczej od-
 blaskami dnia wczorajsze-
 go. Bohaterem utworu
 Zanda jest dziennikarz,
 doktor Sasza Malowan,

inteligentny i obrotny. Lu-
 dzie, z którymi ma on do
 czynienia z racji swoje-
 go zawodu, stają się przy-
 padkowymi (lub nieprzy-
 padkowymi) współuczestni-
 kami jego, co się dzieje.
 Są to ludzie ważni i bo-
 dachi, ale także ludzie sta-
 rzy, wyrzućeni za burtę
 przez nieubłaganą histo-
 rię. Blaski i nadzieje wiel-
 kiego miasta są więc jak-
 śmiś istotnym tematem
 tej powieści.

Choć Zand napisał po-
 wieść aspirującą do tzw.
 utworów nowoczesnych,
 utrzymał ją na granicy
 przystępności. Wymaga
 ona jednakże od czytelnika
 pewnego wysiłku przy
 czytaniu. Wysiłek ten
 wszakże bardzo się opła-
 cą. Powieść nie tylko zaj-
 muje, ale posiada również
 pewne wartości poznaw-
 cze. A także formalne.
 Prezentuje ona jedną z
 odmian współczesnej po-
 wieści, nie rezygnującej z
 opisu konkretnego środo-
 wiska, nie uciekającej w
 świat poza czasem i histo-
 rię. Dwa słowa należą się
 tłumaczce, która rzecz tę
 przelożyła na polski, Te-
 resa Jętkiewicz, mająca
 już na swoim koncie prze-
 kładowy kilka poezji,
 doskonale poradziła sobie
 z tekstem, dając mu w
 polszczyźnie dobrą szatę
 słowną. Tekst jej czyta

się bez oporu, a nawet z
 przyjemnością.

J. K.

Herbert Zand: „Spadko-
 biercy ognia”. Tłumaczy-
 la Teresa Jętkiewicz. Pań-
 stwowy Instytut Wydaw-
 niczy, Warszawa, 1964.

PTASZNIK

Ta najnowsza kolekcja,
 rzecz można — mikroga-
 leria miniaturowych nowel-
 istycznych Anny Kowalskiej
 prezentuje utwory bardzo
 w swym artystycznym kształ-
 cie podobne do tych, któ-
 re czytaliśmy w „Safon-
 nie”, „Kandelabrze efes-
 kim”, czy „Oltarzach”.
 Miniatury to zresztą i nie-
 miniatury, wokół bowiem
 cienko narysowanego wi-
 zerunku postaci, twarzy
 człowieka — rozsnują się
 nie mniej subtelna, pojęta
 siarcą na pół gawędziarskiej
 narracji, wypływają się pla-
 stycznie do codziennych
 na pozór w rzeczy samej
 — zadziwiających, ale i
 męczących (jak każda ludz-
 ka bieda) sytuacji życio-
 wych. Mimo bowiem bly-
 skających tu i ówdzie
 iskerek humoru, są to
 jednak miniatury melan-
 cholijne, jeśli godzi się
 tak określić nastrój pta-
 ków łapanych do klatki i
 narratora bezradnie przy-

patrującego się im w ty-
 tułowym opowiadaniu.
 Melancholijny jest też
 motyw czy wątek prze-
 wodni „Ptasznika”, czy-
 niący z tej książki jednak
 cykl, a nie stos bezładnie
 beładnie rzuconych na
 siebie obrazów. Kowalska
 pastorek wyrażnie zaiste
 światem dzieci, także tych
 wyrastających w mło-
 dzież, a światem doros-
 łych. Światem — nie wy-
 obraźnią; jeśli np. podsu-
 chamy rozmowę dwóch
 przedszkolaków, toczoną
 w rytm piosenki „Domy
 stanęły na głowie”, jeśli
 rozważymy się albo ziry-
 tujemy dzieciennie zaiste
 egoistycznym monologiem
 „Tumacza Szekspira” —
 wprawi nas (w tych i po-
 zostających opowiadaniach)
 w zadumę, przyprowi może
 do melancholijnych dysonans
 między rzeczami i sprawa-
 mi, które chcieliśmy
 poustawić wokół siebie
 trochę jak laiki i plusowe
 wedle których toczy się i
 przetacza najlepszy z moż-
 liwych świat. Cóż, zgodź-
 my się z Kowalską: tak
 to los człowieka — w mi-
 niaturze...

Z. P.

Anna Kowalska: „Ptasz-
 nik”. Czytelnik, 1964, s.
 147, cena 10 zł.

ŻAŁOBA

Roman gonelski

Zadzwoniłem do drzwi. Nie byłem pewien, czy to właśnie tu, ale nie miałem innego wyboru.

— Czy tutaj mieszka pani N.?

Oczy, które ukazały się w drzwiach, oglądały mnie z niedowierzaniem. Widocznie nikt do niej nie przychodził, pomyślałem. Na klatce schodowej i w głębi długiego wąskiego przedpokoju było prawie ciemno. Słabe światło padało tylko przez okno umieszczone wysoko nad drzwiami.

— To tu — podpowiedziano mi.

Znowu stałem. Nadsłuchiwałem chwilę. Wahalem się. Od czasu do czasu słyszałem, czulem tam za ścianą miękki koskot.

— Ona jest — powiedziało mi.

Kilka dni już jej nie było. Prawie nigdy nie chorowała. Wysoka, chuda, matomówna. Jej biurko i moje biurko były zestawione i dlatego była zwrócona do mnie twarzą. Nie lubiano jej dlatego, że nosiła ze sobą dziwny zapach. Wmówiono mi, że ją bardzo lubię. Nie wiem dlaczego się zgodziłem. Nie wiedziałem nawet, gdzie ona mieszka.

Postanowiłem, że wejdę do niej tylko na moment. Zapukałem i otworzyła drzwi. Wstrzymałem oddech. Znowu ten zapach. W rogu pokoju stał mały kwadratowy stół oświetlony świecą.

— Dobry wieczór. Przyszłem panią odwiedzić — powiedziałem.

Moje oczy powoli przyzwyczajają się. Zobaczyłem panią N. Siedziała przy stole. Ubrana była w czarny żalobny strój. Kilkanaście par kocich oczu spoglądało w moją stronę. Chciałem się wycofać. Zrobiłem krok do tyłu. Usłyszałem przeraźliwy krzyk. Oparłem się o ścianę. Było mi gorąco i byłem spocny. Dopiero teraz zauważyłem, że wypełniające pokój liczne oczy zmieniły swoje położenie. Pełzały po podłodze, po ścianach. Widziałem je też na oknie.

Pani N. uniosła rękę do głowy. Kot wskoczył na stół.

— Co się stało? — zapytałem.

— Nie widzi pan, że mam żalobę.

— Czy to ktoś bliski? — spytałem, ciesząc się, że narzeczenie mnie zauważyła.

— Tak.

Gdyby nie świeca, pomyślałbym, że zrobiono mi nieprzyjemny kawał. Wiedziałem doskonale, że pani N. nie ma rodziny. Wiedziałem też, że całą swoją pensję wydaje na utrzymanie kilku nastu wiecznie głodnych kotów. Wszyscy wiedzieli o tym, że pani N. jest zawsze głodna.

Nieład i zaduch panujące w jej mieszkaniu potęgowa-

ły jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie, jakie odniosłem przy tej pierwszej wizycie.

Pani N. była niezwykle spokojna. Nie mogłem poznać po głosie, że cierpi. Odpowiedzi jej były krótkie i suche, jak zawsze. Ożywiła się tylko wtedy, gdy dotykała swoimi chudymi, o pomarszczonej skórze palcami, futra swoich kotów.

Kiedy pani N. wychodziła, w pokoju często zaczynało o niej mówić, albo raczej obmawiać ją.

— Jedni zbierają znaczki, inni są numizmatykami, a ta kolekcjonuje koty. Ma ich setkę, co? — mówił grubas siedzący przy oknie.

— Każdy ma swojego konika, a ta ma kotka — dodawał inny.

— Na znaczkach można zarobić, a jaka korzyść z tych kotów? Nawet szczerów nie łapią, bo mają kielbasę.

Zawsze, gdy słyszałem taką rozmowę, było mi żal pani N., ale teraz, kiedy poznałem prawdziwe oblicze jej niecodziennej namiętności, cieszyłem się, że tak o niej mówią. Zdecydowałem się. Podszedłem bliżej stołu.

— Czy mógłbym pani pomóc?

Chciałem być dla niej uprzejmy, ale nie udawało mi się. Na szczęście nie zauważyła tego. Myślała o swoim zmartwieńniu.

— A kiedy to się stało? — spytałem, starając się nadać mojemu głosowi ton poważny z odcieniem współczucia.

— Trzy dni temu. On już od dawna chorował. Nie miał go kto pielęgnować. Rano zawsze jestem w pracy. Taki był dobry dla mnie. Umiał mnie pocieszyć, kiedy miałam jakieś zmartwienie. Umarł trzy dni temu. Nawet piakać nie mogę. Taki był dobry dla mnie. A jaki wesoly...

Umilkła na chwilę. Słychać było miauczenie rozbawionych kotów.

— Lekarz powiedział, że one wszystkie tak poumierają. Staram się stworzyć im jak najlepsze warunki. One chorują, bo nie wychodzą na spacer. Ja, niestety, nie mam ogrodu. Gdyby pan wiedział o czymś takim, byłabym bardzo wdzięczna.

Pani N. znowu zamarta w oczekiwaniu. Na stole chwiał się płomień wypalanej do połowy świecy. Na podłodze leżały resztki pożywienia. Wyminałem rozstawione jak bramki siałomu talerze. Spłoszyłem kota, który usadowił się przy drzwiach.

— Już trzeci dzień nie wychodzi — usłyszałem, kiedy mijalem drzwi z palącym się nad nimi światłem.

— Już trzeci dzień nie wychodzi, trzeci dzień...

— Wiem o tym. Dobranoc.

Na ulicy zachłysnąłem się świeżym mocnym powietrzem.

Mieczysław Michał Marjan POWROT ANIOŁÓW

Są narysowani na powietrzu.

Na ziemi

W drelichach przepoconych dymem

Z brzuchami wyдутymi brukwią idą Anioły

Za sosnami żeber niosą kowadełko na które spadał duży młot

Są narysowani na powietrzu batem

Narysowani na powietrzu mrozem idą do cichej Jerozolimy

Upragnionych murów Drzwi opieczetowanych pajęczyną

Lóżek rozdartych siekierami ognia idą do lamp

Których płomień wysechł w ścianach otwartych na przeciąg

Przez wypalone drewno do spodonych stołów

Idą do polamanych warsztatów które trzeba złożyć jak rękę

Do okien patrzących niebem i opuszczeniem

Przez kołczastą łakę drutu włoka

Strzaskane Tablice Mojżesza.



Jan Jawicki

Krucjata

czyj płak czyje okna ślepe
wysoko pośród listowia ówdzie ołtarz
głaz przy głazie z żyłami chwastów
ku rzece ścieżka i żagle: biały trójką
czarny trójką wprost brzegom
gdzie skała podarta od wiatru
i ze ścian w płatach leci tynk i żadnych koni
żadnych włóczni kamień oblepiopy igliwem
turkus rubin szmaragd lachman na lachmanie
wzdłuż ulic ławy z marmuru drzwi pieczęcie
rozłamane słoncem i drzewa i gałęzie wilgotne
z cieniem owocu ten drobny trzepot
i glina w palcach zamysł dzbana
i szkło pod stopami i inna ziemia
inne wiosła niecierpliwie ku rzece ścieżka
i żagle: biały trójką czarny trójką
wprost brzegom gdzie skała podarta od wiatru.

Mieczysław KAUT. DOM

Dom, w którym mieszkał nagle za ręce. On pokazał w dzieciństwie, był brzydka kamienicą ze stromymi, wysłizganymi schodami. Dwa miejsca, które w nim lubił najbardziej, to był strych i piwnica. Na strychu podzielonym na małe kwadratowe pola drewnianymi stemplami, kładł się na podłodze, patrząc na nie otynkowany, pokryty pajęczyną sufit palił papierosa i myślał, albo ustawiał pulapki na myszy, do których słoninę wykradał z kuchni, a potem upolowane myszy brał za ogony, robił z nich pęki i wieszał w kącie, na bejce. Pewnego razu któraś z lokatorek poszła z mokrą bielizną na strych i znalazła zasuszone myszy. W kamienicy zawrzało, ale podejrzenia padły na młodszych chłopców. Wtedy pomyślał sobie, że może to rzeczywiście jest głupie i przestał łowić myszy. Po tej historii coraz rzadziej bywał na strychu.

Drugie jego ulubione miejsce to była piwnica. Piwnicę pokazała mu córka dozorcy, duża, milcząca dziewczynka w jego wieku. Często przechodził koło jej mieszkania, kiedy się spotykali, miał ją szybko i udawał, że jej nie widzi. Patrzyła za nim krótkowzrocznymi, poważnymi oczami, a on czując to spojrzenie czerwienił się i nie odwracał. Zobaczyła go kiedyś, jak wszedł na ciemne schody prowadzące do piwnicy i poszła za nim. Stała wyżej i długo nie wiedziała, że go śledzi. Kończył już papierosa i chciał wracać, kiedy powiedziała zachrypniętym, zdenerwowanym głosem: — Co tu robisz? Najpierw się przestraszył, a potem kiedy ją poznał, odwrócił się i burknął, że nie. Stał w milczeniu kilka chwil, a potem ona powiedziała, że może mu całą piwnicę. Próg płaczu drżały jej ramiona i zrobiło mu się strasznie wojny służyła za schron. Wyjdź, a kiedy podszedł do niej i chciał ją objąć, przedy zobaczyła jego zdumioną minę, roześmiała się, szedł. Czuli się niezdarzy, od tego czasu codziennie spotykali się w piwnicy. Ba wili się w chowanego, ocie rali o ściany, o siebie, chwy szczęnięcy pisk.



ziemowit Skibiński



Kto źródło rozwiązał w strumień?
Czy to człowiek,
Czy to żmija,
Że się samo wywija?

Kamień w mech zachodzi
— Co wychodzi?
Najpierw źródło wywęzła
Język czysty
Spod kamienia na kamienie,
Szczebioce, kwili, mówi,
Rozwija strugomiennie
W potoczek zaledwie.

Strumyk się mieni,
Pobiegał za górę, za las,
W czas
Się zamienił.
Tak się sobie dziwił, krzywił,
Czemu się zarumienił,
Że w zmierzchu słońca
Językiem w zieleń wynikłym
Płonnie się zarumienił.



Karimian Śnicpocki + MOWA

„Któż pojąć umie mowę”
(J. ZONSAJN)

Jakże tu dowieść tożsamości siebie?
Któż imię dał ci i co ono znaczy?
Modliłeś się do ścian, lecz popatrzy, zniknęła,
A już za tobą idzie śniegu dzwon.

Nie pytaj słów co znaczą, jak drzew kto je sadił,
One przynoszą mowę ciemną nie do wiary,
Odbijają nas w sobie i z sobą unoszą
To wszystko, co nas trwoni, i zostaje w znaku.

Aż stajemy się w końcu najczystszy istnieniem,
Niepodzielny na słowa ostateczną prawdą.

prac. graficzne R. Ptowka.



BASŃ MIENI SIĘ WSPOMNIENIEM

...a wspomnienie baśni. „Aż wspomnieniebaśń — dopowiada Stanisław Czernik — przeżyta, poznana, odkryta i odtworzona, czyli wy-czerpana, przestała być i wspomnieniem i baśnią, nabierała zmartwiałego kształtu, a więc zapisu, który zamykał jedno jej życie, a miał otworzyć drugie, zamienił ją w historię”.

To wyznaczenie znajdujemy tylko w jednym z opowiadań ostatniej książki Czernika, w „Gryzlikamieniu”, ale właściwie określa ono i wyjaśnia całą „Nowinę”. Określa nie tylko literacki gatunek tego zbioru, organicznie wszczępiony w filozoficzny i artystyczny porządek wernego swojemu programowi autentyzmu — wyjaśnia przede wszystkim związek i koligacje z poprzedzającą „Nowiną” prozą i poezją Czernika, z zapisaną „Reką” wizję historii, z potyczkami i bataliami „Okolicy Poetów”.

Swędził mi pióro, aby z „Nowiną” w rękę pogrzebać w kronikach tych bojów, odgrzebać ich celną i dla naszej współczesności literackiej, amunicję i strategię — lecz nie uległem tej pokusie. Pikanteria filacji, korzenność polemiki może bowiem przytoczyć, nawet zatracić smak literacki „Nowiny”, smak swoisty, delikatny, jedyny w swoim rodzaju. Smak baśni, snutej nie tylko dla wyostrożenia zmysłów i pobudzenia wyobraźni — smak wspomnienia, przedkładanego nie tylko dla nasycenia ciekawości, zajmującej nauki, niepochej zabawy.

Po cóż bowiem warto wraz z Czernikiem zagościć „U Hiszpana za Atlase”, zadziwić się nie tyle egzotyczną urodą, ile ludzkim, każdemu jak śmiech i lzy znajomym, wnętrzem „Chaty na arabskim przedmieściu”, rozpoznać, odczytać na nowo fabułę Mickiewiczowskich „Lili” w „Nowinie”, powdrować w słowiańską przeszłość na Czernika, a nie Wellsa, wehikuła czasu w „Czerwcu”? Dla smakowania uroku i niespodzianki tych peregrinacji? — Na pewno, dla uświadomienia sobie, więcej dla przeżycia starej jak literatura, ale dlatego tym łatwiej kosztującej w schematyczną formułę prawdy, że granica między poezją odczucia a prozą opisu świata jest płynna zwłaszcza wówczas, gdy rozpoławia nabołate krzywdy i drżące od radości serce drugiego czło-

wieka? Oczywiście — zwłaszcza, że ta granica określa jednocześnie i uwypukla humanizm nie tylko „Nowiny”, ale i całej twórczości Czernika, jej — by rzucić oschłym terminem — specyfikę, jej nie tyle autentystyczny, ile autentyczny porządek filozofii i sztuki. Ale to za mało.

Bowiem i mnie przy lekturze „Nowiny”, jak Czernikowi przy tworzeniu „Gryzlikamienia”, „ciągle czegoś brakowało. Czego? Nie wiedziałem. Wystarczyło stwierdzenie niedosytu. Może był w tym nawet pewien urok dziwnej granicy między najłżejszym niedomknięciem, a najdrobniejszym uchyleciem zamykającym się koła, otwierającej się nowej linii — punktu będącego nasileniem znowu innego koła, kielkującego z poprzedniego”.

Otóż to: ten niedosyt, wzbudzany przez ciągłą cyrkulację Czernikowej prozy w „Nowinie” (i chyba nie tylko w wspomnieniu, a baśnią, między prozatorskim protokolem świata, a poetyką wizji historii — wydaje mi się najostrzejszym, najbardziej pikantnie drażniącym, niepokojącym wyobraźnię smakiem tej książki. W prozie Czernikowej „Nowiny” wyczuwam chęć wychowania czytelnika na obraz i podobieństwo pisarza, by każdy z nas spróbował sam dla siebie, może i dla innych, snuć „wspomnieniebaśń”, wgrzyźć się wyobraźnią we własną biografie, przestąpić, zagłuszyć poezją wzruszenia suchy szelest szływieny od życiowej prozy ankiety personalnej.

Nienowa to propozycja? Owszem: opłatała ona literacki program autentystów (z Czernikiem właśnie na czele) już w dwudziestolecie międzywojennym. A przecież w jakiś sposób nadal aktualna.

Stanisław Czernik: *Nowina*, Łódź, 1964. Wyd. Łódzkie, s. 191, 2 nb.

Tomasz Mann po polsku

Nie znam ani jednej anegdoty o Tomaszu Mannie. Był to pisarz ogromnie serio, typowy pisarz niemiecki, a pisarzem niemieckim — jak to już zauważył stary Goethe — pozabawieni są zazwyczaj poczucia humoru. Wszystko, co wyszło spod pióra Tomasza Manna, przesycone jest duchem pryncypializmu. Nawet w lżejszych jego rzeczach, jak „Wyznania hochszaplera Feliksa Krulla”, mamy do czynienia z tym specyficznym rodzajem powagi i zasadniczości, które niekiedy stają się po prostu denerwujące. Tomasz Mann traktował zawód pisarza po kapitańsku. W tym względzie był ten świetny pisarz jakże dziewiętnastowieczny i jakże w gruncie rzeczy staroświecki. Jego córka, Erika Mann, wydała niedawno u Fischera we Frankfurcie nad Menem dwa tomy listów pisarza, obejmujących lata 1889-1947. Gdy się te listy czyta, odnosi się czasami wrażenie, że ich autor nigdy nie był młody. Najwcześniejsze listy tchną powagą i skrupulatnością. Widać: chciałoby się powiedzieć, że najdrobniejszy list pisany był z tym samym nastawieniem, co powieść, nowela lub esej. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że i listy pisał Tomasz Mann nie tyle do konkretnych adresatów, ile raczej do potomności.

Z obfitego dorobku esejistycznego Tomasza Manna, który w jego pismach zbiorowych, opublikowanych pośmiertnie w 1960 roku, mieści się aż w czterech pięciokilku tomach, otrzymaliśmy obecnie jedynotomowy wybór w języku polskim. Ważna to książka, obok której nie można przejść obojętnie. W „Szkicu autobiograficznym”, otwierającym tom tych „Esejów”, Tomasz Mann, mówiąc

o swoim utworze „Śmierć w Wenecji”, pisze co następuje: „W oczach czytelników niemieckich, którzy w gruncie rzeczy cenią wyłącznie dzieła poważne i ważne, nie zaś lekkie, nowela ta, mimo zastrzeżeń, jakie obudziła sama treść, spowodowała pewnego rodzaju moralną rehabilitację autora „Królewskiej Wysokości”. We Francji przyjęło le petit roman bardzo przychylnie. Wydany tam przekład poprzedził pełnym polotu słowem wstępnym Edmund Jaloux”. Czytałem przedmowę Jaloux. Jest to prostu oświeżająca. A przecież w zacytowanych dopiero co słowach Tomasza Manna o tej przedmowie mieści się bardzo cienka ironia. Chwałili błyskotliwość pisarzy francuskich, ale w istocie rzeczy duch literatury francuskiej był mu obcy. Wydane po polsku „Eseje” potwierdzają to, cośmy powiedzieli na początku niniejszego felietonu. Powaga i erudycja dają znać o sobie wszędzie. Nawet rzecz tak osobista, jak autobiografia pisarza, ujęta została nieledwie w formę rozprawy naukowej. Kiedy czasopismo satyryczne „Simplicissimus” obchodziło trzydziścielecie swojego istnienia, zwrócono się do Tomasza Manna o artykuł lub wspomnienie jako „debiutował na lamach tego krótki zasiadł w jego redakcji. To, co Tomasz Mann napisał z tej okazji, było tak poważne i tak pryncypialne, jakby chodziło o jubileusz Hegla. Wyobrażam sobie, co by w podobnej okazji napisał nasz Antoni Ślonimski!

A jednak Tomasz Mann jest pisarzem wspaniałym. Choć brak humoru w jego pismach zuboża je o coś bardzo istotnego, rozległość i

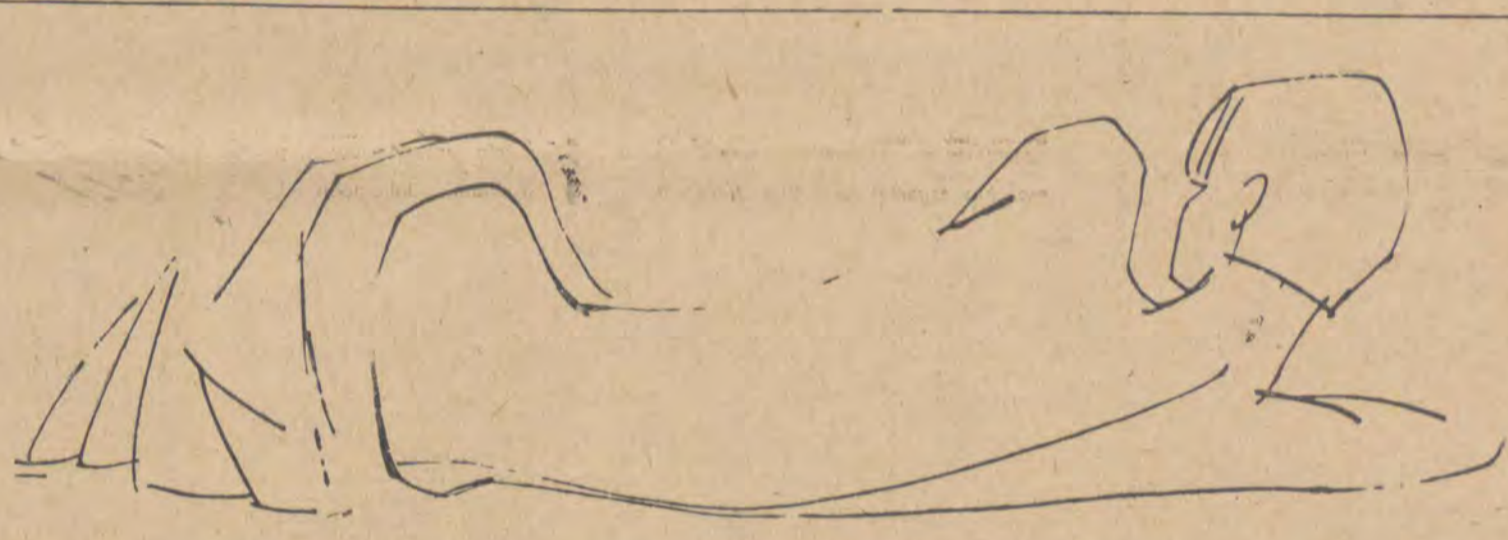
wielkość tego piarstwa jest bezsporna. „Eseje” potwierdzają to w równym stopniu, co wydane wcześniej powieści i opowiadania. Wybór z dużej ilości zawsze będzie wyborem dyskusyjnym. Zawsze nastawa się pytanie: dlaczego to, a nie co innego. Osobiście bardzo żałuję, że Paweł Hertz, który jest autorem wyboru esejów Manna, nie włączył do tomu jego przedmowy do „Tajnego agenta” Conrada. Nie jest to przedmowa w potocznym znaczeniu tego wyrazu. To, jak zazwyczaj u Manna, esej, rozprawa, wywód filozoficzny. Tomasz Mann miał dla Conrada duże uznanie, jego książki leżały stale na nocnym stoliku, pod ręką, gdyż Tomasz Mann chętnie do nich zaglądał. W przedmowie tej pisze m. in.: „Polak (Conrad) wcale nie stał się Anglikiem, by stać się angielskim pisarzem — o ile jestem dobrze poinformowany, myśl ta była mu bardzo daleka”. Szkoda, że nie uwzględnił wstępu Manna do „Tajnego agenta” Conrada. Żałuję również, że nie włączono do tomu esejów obszernego szkicu o Schoenhauerze. Ten filozof, który był także jednym z najświetniejszych pisarzy i stylistów, stał zaprzętą umysł Manna, w szkicu o nim Mann powiedział także wiele o sobie, można by zaryzykować twierdzenie, że filozofia Schopenhauera („uroki pesymizmu”) stała się do pewnego stopnia również filozofią autora „Buddenbrooksów”.

Tomasza Manna zajmowały bardzo problemy literatury rosyjskiej. A zwłaszcza trzech pisarzy: Tolstoj, Dostojewski, Czechow. Trzy szkice o tych pisarzach znajdują się w omawianym tomie. Nie jest to wszystko, co Mann o nich napisał, ale i to wystarczy, by

pojąć, jak bardzo absorbowały go sprawy rosyjskie i jak wielki wpływ wywarł na niego głównie i przede wszystkim Teodor Dostojewski. Toteż szkic o nim należy chyba do najlepszych w tomie. Należy żałować, że Tomasz Mann nie interesował się literaturą polską. W jego biografii nie zajmują ona prawie wcale miejsca. Jedyne w szkicu autobiograficznym znajdujemy kilka słów o pobycie pisarza w Polsce. Oto, co Tomasz Mann pisze: „Na rok 1927 przypada moja podróż do Warszawy, której społeczeństwo przyjęło niemieckiego pisarza z niezapomnianym gestem wielkodusznej i przyjaznej gościnności. Mówię o społeczeństwie warszawskim w ogóle, nie tylko bowiem pisarze przeszedli w PEN-Clubie przez tydzień bodaj nie ustalony w okazywanu mi serdecznej troski i uwagi, ale przyłączyli się do nich również przedstawiciele arystokracji i sfer rządowych; odniosłem też wrażenie, że skorzystano skwapliwie z okazji, by na przekór trudnościom i sprzecznociom politycznym dać wyraz powszechnie tam panującemu uczuciu szczeremu szacunku i wdzięczności dla kultury niemieckiej”.

Dziś, po drugiej wojnie światowej, passus ten brzmi inaczej, niż wtedy. Ale przecież nie jest winą Tomasza Manna, że stało się tak, jak się stało. On sam, jako emigrant, walczył o godność zrozpoczonej kultury niemieckiej. Również „Eseje” są tego dobitnym dowodem.

Jan Koprowski



Hanna Stańska. Akt.

Rysunek (tuszą)

Notatnik KULTU RALNY

NIEDZIELA

Godzina dumania. Jak ten notatnik prowadzić? Czy sta informację czytelnik ma przecież w prasie codziennej. Informacja więc może być tylko pretekstem. Ale do czego? Dowcipu? Jakiego? Purnonsensowego? Gra nie warta funta kłaków. Do dowcipu złośliwego? Ale z poczuciem humoru nie jest u nas dobrze. Pogłaszczysz kogoś różą (a która róża nie ma kolców?), i już podnosi się krzyk, że krzywdzą, że niszczą. Co innego jeśli ciębie walną kłonicą: ani im oko nie drgnie. Jeszcze ten i ów rączki zacięra, że zadał ci bobu. Więc?

PONIEDZIAŁEK

Doczekaliśmy się omówienia wrocławskiego festiwalu sztuk polskich współczesnych. Wszystkie nagrody za repertuar przy padły w tym roku adaptacjom i inscenizacjom wybitnych powieści. Za „Kordiana” i „Chama” Kruczkowskiego nagrodę wziął Teatr Marika Okopńskiego z Poznania, za Brezy „Urząd” Krzeminskiego z Krakowa itd. Łódź wyszła z festiwalu goła, jedynie z nagrodami aktorskimi. Czego to nas uczy? Ze na festiwalach leżą się przede wszystkim ambicje repertuarowe: poszukiwania własnych dróg myślowych, odkrycia, twórczy wkład samego teatru w budowę dzieła scenicznego. Samo wystawienie pozycji trochę słabszej czy mocniejszej przy konkursowej i reżyserskiej konkurencji rekinów warszawsko-krakowskich — nie wystarczy. Trzeba iść, jak Okopieński lub w łeb, z Warszawy i Krakowem, albo nawet przeskokować ich o ten lub (jeśli się potrafi). To jest trudna sprawa dla teatrów tzw. terenowych, ale innego sposobu nie ma.

Czekamy teraz na wyniki konkursu i reżyserskiej festiwalu sztuk radzieckich i rosyjskich.

WTOREK

Nagrody Literackiej Towarzystwa Przyjaciół Łodzi

otrzymał poeta klasy robotniczej Antoni Kaspro-wicz. Autorowi składamy serdeczne gratulacje i życzymy dalszych pięknych utworów.

Składną wiadomo nam jednak, że Antoni Kaspro-wicz trochę się zżyma, gdy ma się przytępiła nadejść poety robotniczego. Kaspro-wicz od początków poetyckich, których źródłem była istotnie krzywdą a potem walka i wyzwolenie łódzkiego proletariatu, uszedł już kawał drogi i chyba nie bardzo jest rad, gdy go się zamyka do tej szufladki i tylko w niej widzi. Każdy pisarz zresztą, bez względu na temat, który może być największy, chce być zauważany w ogóle. Dlatego wielu z nich nie lubi, gdy się mówi o nich poezja robotniczy, powieściopisarz górniczy, prozaik-marynista. Czy Conrad był marynistą? Decydujące jest przecież co z tego pisania wynika, a więc adekwatność środków formalnych w stosunku do tematu, która czyni (lub nie) z utworu dzieło artystyczne.

ŚRODA

Nierzadko męska część krytyki lubi dopatrywać się w dziełach kobiet tego, co jest z ich psychiki czy płci, co wynika z kobiecy na niejako z góry deprecjonować. Subtelność pomawia się wtedy o czułość, uczu-

ciowość, o sentymentalizm, na odwrót — drapieżność, pióra czy piórka nazywa się wulgarnością, a dowcip — jedzownością. Jeżeli twórca w spódnicy jest bezdziejny, powiada się, że to jest zamiast, jeżeli rozwiązywał — że to sublimacja, jeśli na odwrót — to rekompensata.

Kreska Hanny Stańskiej (CBW Piotrkowska 102) jest delikatna i subtelna, ale nie ma w niej nic z czułościowości. Jej realizm jest poetycki. Widzenie ludzkiego świata czujne i syntetyczne. Postarzanie świata zwłaszcza roślinnego łączy w sobie tendencje realistyczne i abstrahujące, co się nada na użyteczny dziś we wzornictwie neorealizm. Pewne rysunki przywodzą na myśl prace Kulisiewicz i paru innych twórców, ale to niezgorsze parantele. Zanim odwiedziemy kiedyś pracownię pani Stańskiej, zapoznajmy się z jej pięknym aktem (powyżej).

CZWARTEK

Jeszcze a propos konkursów i nagród łódzkich. Ambicje łódzkich i wojewódzkich ojców miasta zdają się zmierzzać do tego, aby ziemia łódzka posiadała jak największą ilość dzieł o sobie. Ambicja sama w sobie chwalebna. Ale czy przy okazji nie przeoczymy czegoś cenniego, osiągniętego paru pisarzy starszego, średniego i młodego pokolenia nie miesz-

czących się w tych ramach? Może być, owszem, książka „łódzka”, a zarazem uniwersalna, ale może być dzieło uniwersalne bez akcentów czyściwie łódzkich, a mimo to być książką o sprawach każdego z nas. Czy książka ambitna, humanistyczna (cieszące się uznaniem krytyki), przynoszące dobre imię autorowi i miastu, w którym pisarz żyje, nie zasługują na wyróżnienie dlatego, że poemat czy powieść jest po prostu ludzki, a nie tylko łódzki?

PIĄTEK

W całej prasie polskiej, w wielu dyskusjach literackich, filmowych widać od dłuższego czasu wielkie zainteresowanie sztuką czeską. Z początku prorokowaliśmy, że czeski literacki październik nie potrwa długo, ale tak nie jest. Pojawia się coraz więcej interesujących książek, filmów nagradzanych na światowych festiwalach, odkrywają się teatry czeskie. Na odkrycie czeka klasika czeska, dramaty Józefa Kajetana Tyla, Alojzego Jiraska, najlepsze sztuki Czapka. Na odkrycie czeka rubaszny czeski teatr ludowy m. in. „Dudziar z Strakonice”, którym się interesował także bardzo Leon Schiller. Może Łódź pokusi się o palmy pierwszeństwa w tej mierze.

A propos zainteresowań czeskich: schwyliśmy

KULTURĘ na fatalnym błędzie. Nazwisko jednego z czołowych prozaików, autora rozrachunkowych „Spóźnionych reportażów” znanego z zakazu wydania tych reportażów z granicą i procesu z jednym z wydawców NRF o wydanie ich bez jego zezwolenia, nazwisko Mniacki (czeska pisownia Mňacko) w dyskusji Janusza Wilhelmiego i Romana Bratnego przez cały czas brzmia Mniacko. Oj, panowie reaktorzy i koektorzy!

SOBOTA

Piętnastolecie istnienia Teatru Nowego. Jubileusz nieprzeciętny, bo to ani trzy czwarte Dwudziestolecia, ani trzy piąte srebrnych godów. Niemniej jednak Teatrowi Nowemu dziękujemy za wszystko piękne, cośmy w nim przeżyli. Na rzeczy mniej piękne gramyśmy, nie używając jednak klonicy. Cieszymy się dobrze zapowiadającym się nowym sezonem. Jeżeli tę amerykańską „DREWNIANĄ MISKĘ” uda się teatrowi dobrze wystrugać, a Mrozkowego „INDYKA” smacznie Afanasjewowi wysmazać, to przy chórach antycznych Schillerowskiej „PASTORALKI” będziemy przeżywać prawdziwe „RADOSNE DNI”.

OBSERWATOR



Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizować w TV

Referat Hitchcock

Wprawdzie willa tonąca w kwiatkach zawiadła jego oczekiwania, ale prawdziwą niespodzianką była jej właścicielka. Pani Chalón, kobieta czterdziestoletnia, nie pasowała do żadnej kategorii morderców. To prawdziwa Mironerwa, pomyślał, jednak po dłuższej obserwacji stwierdził, że się myli. Policzki miała świeże jak osiemnastoletnia dziewczyna. Była dość korpulentna, ale wyglądała interesująco i była godna podziękowania. Nie miała więcej niż czterdzieści lat.

— Może Dubonnet, inspektorze Miron?

— Chętnie — patrzył jak nalewa.

Pani Chalón podniosła kieliszek do ust w sposób dość demonstracyjny, jakby chciała powiedzieć: panie Miron, tutaj nic panu nie grozi.

Była bardzo miła. Czy nie za bardzo?

— Został pan wezwany aby wyjaśnić sprawę otrucia moich mężów — powiedziała uśmiechając się.

— Ależ, proszę pani? — poczuł, że znajduje się w kłopotliwej sytuacji. — Proszę pani, ja...

— Oczywiście, był pan w prefekturze. Wszyscy w Villersfranche w to wierzą — poinformowała go. Była zupełnie spokojna.

— Przyszedłem panią prosić o pozwolenie otwarcia grobów Karola Wessera, zmarłego w styczniu 1939 oraz Etienne Chalón, zmarłego w maju 1946. Jak mi wiadomo, pani odmówiła prośbie sierżanta Luchaire. Dlaczego?

— Ponieważ Luchaire jest źle wychowany. Co za odrażający typ. Ten człowiek w odróżnieniu od pana, ma potworne manieri, a ja odmówiłam tylko człowiekowi, a nie prawu — uniosła kieliszek.

— Pan, inspektorze Miron, otrzyma moje pozwolenie.

— Dziękuję pani. Jestem zupełnie pewna, znając metody pryskiej policji, że badanie ciał już zo-

stało przeprowadzone. Analizy są już gotowe... i to wszystko. Jesteście w ślepej uliczce. Nic nie znajdziecie. A teraz pan, jeszcze jedna osoba, która trudzi się wyjaśnieniem tej zagadki, usiłuje wybadać mnie, poznać mój charakter, moją zdolność panowania nad sobą — a jeżeli się uda, to poprowadzi rozmowę tak, bym się wygadała, przyznała się do popełnienia przestępstwa.

Nie, to nie jest sposób. Już chyba lepsza będzie zupełna szczerłość, pomyślał Miron.

— To prawda, ale — po-

— A Etienne Chalón?

— Był starszy. Ja też byłem już trochę starsza, kiedy go poznałam.

— Czy również chorował na żołądek? — spytał z ledwie dostrzegalną ironią.

— Naturalnie. Oprócz tego miał słabą wolę. Nie był taki brutalny jak Wesser. Przyjaźnił się z wieloma Niemcami, którzy tu mieszkają. Poznali smak najlepszych natchnych win i potraw, podczas kiedy na ulicach dziećmi mdlały z głodu. To prawda, splamiłam się tym morderstwem, ale proszę nie zapominać, że jestem Francuzką.

To ja postanowiłam, że Chalón umrze tak jak umarł Wesser. I nie mam żadnych wyrzutów sumienia.

— W jaki sposób pani to zrobiła? — spytał cicho.

Odwrociła się. Jej twarz rozjaśnił uśmiech.

— Prawdopodobnie zna pan takie potrawy jak „Dindonneau Farci aux Marrons”, „Supremes de Volaille à l'Indienne”, „Tournedos Mascotte”, „Omelette en Surprise à la Napolitaine”, „Potage Bagration Gras”, „Aubergines à la Turque”, „Chaud-Froid de Cailles en Belle Vue”...

— Jakże bogactwo! Co za...

— Pytał mnie pan o sposób,

ry wdali się do pokoju doniosł do niego zapach jej perfum. A może to był zapach kwiatów rosnących w ogrodzie? Żeby jej nie spłoszyć nawet nie sięgnął po notes. Aż sam sobie nie wierzył, że uda mu się wyciągnąć od niej zeznanie w tak łatwy sposób. A jednak...

— Czy zna się pan trochę na sztuce gotowania?

— Proszę nie zapominać, że jestem z Paryża.

— A czy pan wie, co to jest miłość?

— Przecież już powiedziałem, że jestem z Paryża.

— Wobec tego — z pierś jej wydobyło się głębokie westchnienie — mogę panu powiedzieć, że ja, Hortensja Eugenia Villerois Wesser Chalón, stopniowo i z pełną premedytacją zamordowałam mojego pierwszego męża Karola Wessera, lat 57, a także w podobny sposób mojego drugiego męża Etienne Chalón, lat 65.

— Sądzę, że nie zrobiła pani tego bez powodu — nie wiedział co się z nim dzieje. Czy to sen? A może objawy szaleństwa?

— Karola Wessera poślubiłam wskutek nacisku rodziny. Wesser — dowiedziałam się o tym po dwóch tygodniach — był świnia, świnia, którą w żaden sposób nie można było nakarmić. Był to prostak, inspektorze, człowiek nieokrzesany, wybuchowy, ciągle przechwalający się pyszałek, oszust potrafiący wykorzystywać nawet ludzi biednych, człowiek który nie przepuścił nikomu, kto w swojej naiwności pomylił się i mu zaufał. Żartok, który miał odrażający sposób bycia, a wszystko to wraz z wielkim pogłębieniem w nim coraz bardziej. Oczywiście, chorował na żołądek...

— A Etienne Chalón?

— Był starszy. Ja też byłem już trochę starsza, kiedy go poznałam.

— Czy również chorował na żołądek? — spytał z ledwie dostrzegalną ironią.

— Naturalnie. Oprócz tego miał słabą wolę. Nie był taki brutalny jak Wesser. Przyjaźnił się z wieloma Niemcami, którzy tu mieszkają. Poznali smak najlepszych natchnych win i potraw, podczas kiedy na ulicach dziećmi mdlały z głodu. To prawda, splamiłam się tym morderstwem, ale proszę nie zapominać, że jestem Francuzką.

To ja postanowiłam, że Chalón umrze tak jak umarł Wesser. I nie mam żadnych wyrzutów sumienia.

— W jaki sposób pani to zrobiła? — spytał cicho.

Odwrociła się. Jej twarz rozjaśnił uśmiech.

— Prawdopodobnie zna pan takie potrawy jak „Dindonneau Farci aux Marrons”, „Supremes de Volaille à l'Indienne”, „Tournedos Mascotte”, „Omelette en Surprise à la Napolitaine”, „Potage Bagration Gras”, „Aubergines à la Turque”, „Chaud-Froid de Cailles en Belle Vue”...

— Jakże bogactwo! Co za...

— Pytał mnie pan o sposób,



inspektorze Miron. Po prostu używałam tych dań oraz kilkudziesięciu innych. I do każdego z nich dodawałam trochę...

Nagle zamilkła.

— Czego pani dodawała?

— Pan mnie śledził. Pan wie, kim był mój ojciec.

— Jean-Marie Villerois, sławny kucharz, niezrównany uczeń wspaniałego Escoffiera. Pani ojca nazywano na wet jego duchowym spadkobiercą.

— Tak. Kiedy miałam dwadzieścia dwa lata, mój ojciec — tuż przed śmiercią — powiedział mi, że chociaż mam jeszcze pewne niedociągnięcia, jeżeli chodzi o pieczenie, ale jest dumny ze mnie i że w pełni mi dorównuję.

— A to ciekawe. Gratuluje pani — patrzył na nią z podziwem. — Co pani dodawała do każdej z potraw?

Pani Chalón odwróciła się od niego. Zauważył, że ma ładne ramiona.

— Trochę sztuki kulinarnej, niczego więcej, inspektorze. Sztuki Escoffiera albo Villerois. Tacy ludzie jak Wesser i Chalón nie mogli się jej oprzeć. Trzy — cztery razy dziennie karmiliam ich tymi potrawami. Po prostu pekali z łakomstwa, ale nie przestawali jeść. Zapijali to wszystko obficie winem. Dziwił się, że przy takim trybie życia wytrzymali tak długo.

Zapanowała cisza, która dzwoniła jak daleki zegar.

— A co z miłością? Przestraszam, że pytam, ale to chyba ma jakieś powiązanie z tym wszystkim. Zresztą pa ni o tym wspomniła.

— Umiejętność przyrządzania smacznych potraw jest źródłem miłości — albo jej imitacji. I to była ich miłość, inspektorze. Oni kocha li moją umiejętność gotowania. Oprócz tego mieli przyjaźni. I zmarli. Karol Wesser w wieku lat 57, a Etienne Chalón 65. To wszystko.

I znów zapadła cisza. Inspektor Miron nagle poderwał się z krzesła. Przestraszyła się i spojrzała w jego stronę. Była blada.

— Teraz pojedź pani ze mną do Nice.

— Na posterunek policji? — Nie, do jakiegoś lokalu. Napijemy się szampana i posłuchamy muzyki. Musimy ze sobą porozmawiać.

— Ależ, inspektorze Miron...!

— Proszę mnie wysłuchać. Jestem kawalerem. Mam czterdzieści cztery lata. Mówiono mi, że nie jestem nawet taki brzydki. Mam trochę pieniędzy — spojrzal jej w oczy. — Ja też chciałbym umrzeć...

— Stanał trochę dalej, żeby mogła mu się dokładnie przyjrzeć. Patrzyła na niego z wyraźnym zainteresowaniem, potem poeszła i podała mu rękę.

Przełożył R. GORZELSKI

Advertisement for 'Fraszki Jana Czarnego' (Jokes of Jan Black) featuring a decorative border and text: 'Fraszki Jana Czarnego ZA WIELE Od przyjaciół przyjaźni, kto żąda — ten się błażni. ROZMOWY NA SZCZYCIE Gdy rozmawiają bogi toczą się dwa monologi.'

Lewym okiem



WSKAŹNIK NASYCENIA

Skoro pan ma dwie nogi, a pies cztery, to obydwaj mają średnio po trzy. To jest absolutna prawda statystyczna, i absolutna bzdura faktyczna. Jeżeli dwóch panów ma jednego psa, to można już operować całym szeregiem słusznych wskaźników statystycznych: że na każdego mężczyznę przypada dwa nogi ludzkie i dwie psie. Ze na każdego psa przypada trzy głowy, w tym dwie ludzkie. Ze wskaźnik zagęszczenia psów wynosi pół brytana na głowę mieszkańca. Ze na jedną podniesioną nogę psa przypada jedna noga męska — i tak dalej.

Wyobraźcie sobie teraz, ile wskaźników można wymyślić, kiedy i ludzi i psów jest bardzo dużo i kiedy doda się jeszcze parametry: powierzchnię w kilometrach, wagę żywej, płci, wieku i zawo-

du. Nieskończone rubryki wypełnią się nieskończonymi rzędami cyfr, a wszystko razem może nie być znaczące, chociaż będzie prawdziwe.

W referacie sprawozdawczym wylicza ktoś niedociągnięcia i sukcesy, po czym podsumowuje. niedociągnięć piętnaście, sukcesów czterdzieści pięć, a więc stosunek jak trzydzieści trzy do stu. W roku ubiegłym analogiczny stosunek wynosił czterdzieści. Czyli mamy wskaźnik wzrostu sukcesowości — siedem; czyli o siedem procent wzrósł poziom pracy instytucji... A to wcale nieprawda, nie się nie podniosło, spadała tylko katastrofalnie zdolność referowania spraw przez pracowników — czy może wzrósł ich spryt? O tym się procent?

Zgodnie z nowym systemem premiowania w przemyśle, ustala się co kwartał zadania specjalne dla każdego pracownika administracji, operując przy tym wyższą matematyką i jeszcze wyższą zdolnością przewidywania. No bo trzeba przewidzieć, jakie zadanie może pracownik wykonać, żeby mu właśnie takie postawić i zapewnić gościwość normalną płacę, do której od dawna przywykł i oparł na niej swoją życiową stopę! Nie ma powodu, żeby zacząć go karać za to, że system premiowania został zmieniony. Zadań musi być najwyżej pięć, za każde liczą się punkty, w sumie setka. Więc pierszoty skromny szkopuł: czy za opracowanie planu czterdziestą punktów, a za sprawozdanie czterdzieści, czy na odwrot? A może sześćdziesiąt i dwa-

naście? Jak to udowodnić panom inspektorom, którzy za trzy lata przyjdą z olówkami za uchem i będą badać, dlaczego ludzie tak dużo zarobił? Jak udowodnić, że się nie jest wielbłądem?

Większy szkopuł jednak nasuwa się później, przy ocenie. Czy sprawozdanie wykonano w stu procentach, czy o dwa procent mniej? A może o trzy? Jak to udowodnić panom inspektorom, którzy... i tak dalej? A nuż uzna się sprawozdanie za dobre, „uruchomi się” premią, a w pół roku potem Główny Urząd Statystyczny stwierdzi w sprawozdaniu pomyłkę? Nikt z tych, którzy podpisali sprawozdanie, nie mógł przecież czuć wszystkich jego krętek, na to nie wystarczy życia wszystkich urzędników, ledwie go wystarcza na wypełnienie tych „gówek” i „boczaków”.

Konieczność chciełbymy ująć wszystko w cyfry i mieć spokój. Żeby — gdy zaczęła działać prawa arytmetyczna — wyłączyć ciężki obowiązek podejmowania decyzji, wahań, odpowiedzialności. Zapominamy, że transpozycja kategorii jakościowych na język cyfr wymaga często gwałtu, naciągania, dowolności i świadomego oszustwa. Lepiej byłoby chyba nie zmuszać ludzi do tych rzeczy. A przynajmniej zmniejszyć wskaźnik zmuszania o dziesięć procent, rezerwując zaoszczędzoną moc presjotwórczą na analizę stopnia nasycenia naszego życia statystyką...

CWIEK